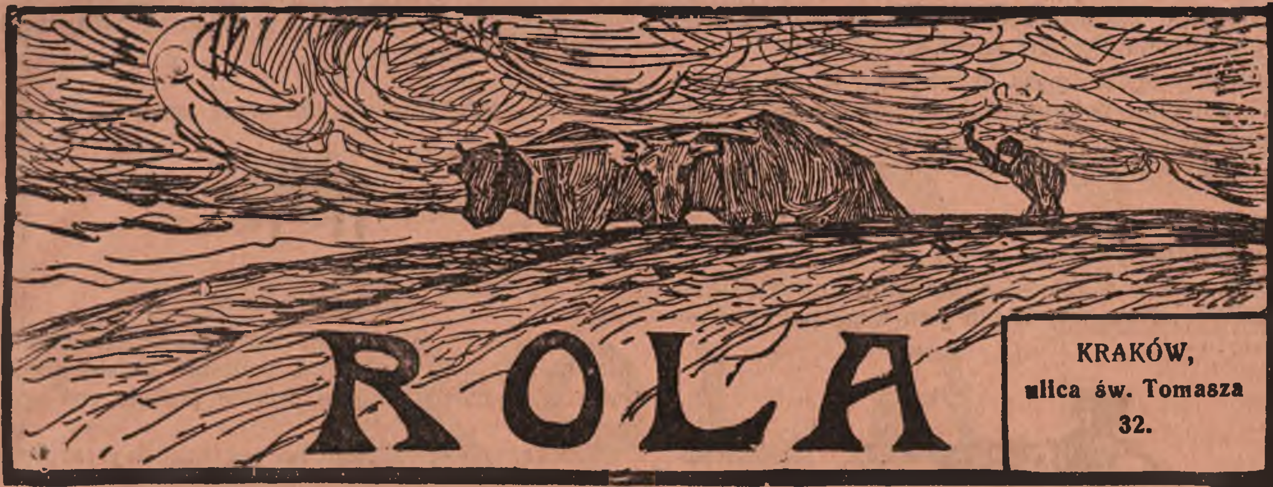
Numer 14. Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 1 Kwietnia 1928**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Prosimy o wyraźne pisanie adresów i podawanie także ostatniej poczty.

Twarda czaszka.

Ogromnego wzrostu murzyn stanął przed sądem ze skargą, że żona bije go i znęca się nad nim.

Zdziwiony sędzia pyta skarżącego — jak mogła zwykła kobiecina pokonać takiego olbrzyma i czem go pokonała.

— Panie sędzio, biła mnie po głowie łopatą od węgli!

— Ależ na głowie pańskiej — woła sędzia — niema najmniejszych śladów bicia!

— Tak, panie sędzio — odpowiada murzyn — na mnie śladów niema, ale niech pan każe pokazać sobie łopatę!



W tydzień po ślubie.

— Ukochany — mówi ona, przytulając się do niego — muszę ci wyznać tajemnicę. Ale czy ty mi kiedykolwiek wybaczysz? Więc słuchaj: moje lewe oko jest ze szkła...

— Och, — odpowie on z widoczną ulgą, — jeżeli o nic innego nie chodzi!... Niema o czem mówić, ale na wypadek, gdybyś tego jeszcze nie zauważyła, to ci powiem mianowicie brylanty w twoim pierścionku zaręczynowym są też ze szkła.

Uratowała.

Gdyby nie moja żona, to wczoraj byłby mnie ograbił kieszonkowiec.

— ?

— No tak! Ona wprzód mnie ograbiła.

Stosowna dawka.

Pacjent: — Słyszałem doktorze, że dla wzmocnienia mózgu doskonale jest podobno często spożywać ryby. Czy może mi pan doktór polecić coś specjalnego?

Lekarz: — Dla pana na początek wystarczy, wieloryb.

Oferta nie do odrzucenia.

Pewien Włoch, bardzo małego wzrostu miał za żonę dużą, otyłą Niemkę. Niedawno otrzymał od czarnej ręki list następującej treści: „Jeżeli nie dasz 1.000 dolarów naszemu posłańcowi, który się zgłosi do ciebie w niedzielę, zabierzemy ci żonę“.

Włoch bezzwłocznie dał następującą odpowiedź: „Nie mam żadnych pieniędzy“.

Numer 14. XI. Rok Kraków, dnia 1 Kwietnia 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

NA NIEDZIELĘ PALMOWĄ.

W niedzielę szóstą i ostatnią Wielkiego Postu, Kościół nasz obchodzi pamiątkę triumfalnego wjazdu Zbawiciela do Jerozolimy. W dzień ten przede Mszą Świętą, są poświęcane po kościołach gałązki palmowe i oliwne, a w braku tych wierzbowe, lub innych drzew, jakie się w kraju znajdują. Pączki tych gałązek ozdabiają w kwiaty polne lub ogrodowe. Stąd niedziela ta Palmową, kwietnią, albo wierzbną nazwaną została.

Po poświęceniu palm, odbywa się procesja, która wyobraża triumfalny wjazd Chrystusa do Jerozolimy, otoczonego tłumem ludu. W czasie tej procesji, kapłani i pobożni niosą w ręku poświęcone palmy, przypominając owych Izraelitów, którzy z palmami w ręku, chwaląc Boga towarzyszyli Chrystusowi do tego świętego miasta i na całej drodze, słali odzienia swoje, a gałązki zielone rzucali Mu pod nogi.

Wyraz hebrajski „Hosanna!“ w śpiewie od ludu powtarzany, podczas triumfalnego wjazdu Zbawiciela, oznaczał wielką radość, uwielbienie i cześć, jaką Izraelici wówczas Chrystusowi okazywali. Kościół nasz często powtarza ten wyraz, aby w duszach wiernych podobne uczucia ku ich Zbawicielowi obudzał.

Kiedy procesja zewnątrz kościoła się odbyła, i do niego napowrót powraca, drzwi kościelne zamknięte znajduje. Wtedy Chór kościelny wewnątrz świątyni Pańskiej śpiewa hymn zawierający rzewne uczucia ku Chrystusowi, stosownie do Jego triumfalnego wjazdu, na co lud zewnątrz stojący odpowiada.

Po skończonym śpiewie, kapłan uderza po trzykroć krzyżem we drzwi kościelne, dając przez to znak do ich otwarcia. Gdy podwoje przybytku Bożego roztworzą się, cała procesja do wielkiego ołtarza postępuje.

Wszystkie te obrzędy mają symboliczne znaczenie. Zamknięcie drzwi kościelnych przedstawia, że przez grzech pierwszych rodziców niebo dla wszystkich zamknięte było, dopóki Zbawiciel na świat nie przyszedł i bram niebios nie otworzył. Kapłan celebrujący wyobraża samego Chrystusa, a lud zewnątrz kościoła będący, przedstawia ten świat pogański, dla którego niebo było zamknięte. Otwarcie podwoi świątyni Pańskiej, po trzykrotnem uderzeniu krzyżem, oznacza, że przez mękę i śmierć męczeńską Zbawiciela na krzyżu niebiosa dla ludu otwarte zostały, a zarazem przypomina prawowiernym, że drogą tylko krzyżową i ciernistą życia, dojść do nich potrafią. Po otwarciu drzwi kościoła, wejście kapłana z ludem przedstawia wjazd Chrystusa do Jerozolimy i dlatego obecni wewnątrz się znajdujący, stojąc po obu stronach na drodze, którą przechodzi kapłan, na znak hołdu, poświęcone palmy przed nim schylają.

Palmy poświęcone w kościołach pobożni przynoszą do domu i zachowują je do następnego roku, zatykając takowe zwykle poza obrazem Matki Boskiej albo wizerunkiem Zbawiciela.

Franciszek Lewandowski.

W niewoli tatarskiej.

Powieść z XVI wieku osnuta na tle historycznem.

Dumny zdobyczami swemi Baty zwał się hanem „Złotej Hordy“ i założył we wschodniej Europie państwo „Kapczackie“. Obejmowało ono część Rusi (Kijowską i Suzdalską gub.), Krym, Kaukaz oraz wszystkie stepy, od Donu aż do Dniepru, na zachód. Nikt mu się tam sprzeciwić nie śmiał, a książęta ruscy, jeden po drugim, zjawiali się w hordzie, aby bić czołem przed hanem. Ojciec święty słał do niego, a potem do hana Oktaja poselstwo, namawiając, żeby się nawrócił, do wiary chrześcijańskiej, ale pohaniec, dowiedziawszy się od przysłanego do siebie mnicha „Ascellinusa“ o zasadach religji naszej, powiedział, że przy takiej wierze ludzie znikczemnieliby i stali się niezdatnymi do wojny.

— Głupi poganin — mruknął pan Gozdawa — niby to my, choć chrześcijanie, dobrze ich bić nie potrafimy!

— Znów Ojciec święty słał dwóch Franciszkanów do hana; obaj to pono byli Polacy (Jan de Plano Carpino i Benedykt) i zostawili po łacinie opis swej podróży, ale i ci nic nie wskórali (1246 roku). W dziesięć lat później umarł Baty, a przed nim jeszcze w Azji wielki han Oktaj. Następcę Batego w Złotej Hordzie, hana „Berkę“, kupcy buczaccy nawrócili na wiarę Mahometa, a za jego przykładem mnóstwo Mongołów przyjęło tę religję, że zaś prorok nakazuje im szerzyć swą wiarę mieczem po całej ziemi, tem gwałtowniej rzucili się ci pohańcy na kraje chrześcijańskie.

Polska trzy jeszcze wielkie napady zniosła w XIII wieku i siła ludu utraciła. Wtedy to zamordowano błogosławionego Sadoka i 40 Męczenników w Sandomierzu, później zaś królowa nasza Kinga musiała uciekać aż w góry Pieniny, a Mongołowie oparli się o Tatry. Napadali oni na pogańską podówczas jeszcze Litwę, ale rzadziej; tymczasem stamtąd właśnie gotowały się dla nich najsroższe klęski. Gedymin i Olgierd zaczęli bić Mongołów, kiedy książęta moskiewscy jeszcze im się poddawali, potem i ci ostatni trochę podnieśli głowę. Dymitr, Dońskim przezwany, na polu Kulikowskiem (1380 r.), blizko Donu, pokonał hana Złotej Hordy, Mamaja. Ale i z drugiej strony spadła nawała na Złotą Hordę. Tłumy dzikich z Azji Mongołów, pod przewodem straszliwego wodza Tamerlana, zwaliły się na Kapczackie państwo i srogie w niem wyrządziły zniszczenie, ale potem wróciły nad Wołgę.

Tymczasem łączyła się Litwa z Polską, a wielki książę Witold straszne zadał ciosy Mongołom; chciał nawet sięgnąć do Azji i obalić samego Tamerlana, który pysznił się zwycięstwy swojemi i pobitego sułtana Bajazyda obwoził w żelaznej klatce. Ruszył Witold w stepy, ale tu został pobity nad rzeką Worsklą (1399 r.) przez Edygę, hetmana Tamerlanowego; poległo w tym boju dwunastu książąt litewskich i ruskich, oraz wiele paniąt polskich. Mimo to Witold często jeszcze napastował Tatarów, podtrzymując jednych hanów przeciw drugim, aż się Złota Horda rozpadła na kilka mniejszych państw. Głównie gospodarował Witold na Krymie i niejednego hana zmusił do hołdowania Litwie. Pokazywał mi Kubalim dużo pieniążków, które się na Krymie dotąd przechowały z herbem Witolda i napisem łacińskim. Złota Horda ich używała.

Tymczasem powstały trzy państwa tatarskie, t. j. państwa: Astrachańskie, Kazańskie i Krymskie, i utworzyła się w stepie dziksza od innych horda Nohajców, pod wodzem „Nohajem“ (teść Michała Paleologa, cesarza wschodniego). Między książętami na Rusi zaś odznaczał się Iwan, Wielki Książę Moskiewski; ten uderzył na Mongołów, zdobył Saraj, ścigając hana Achmata, a gdy tego ostatniego jakiś nieprzyjazny mu inny wódz tatarski zamordował, rozsypała się i przestała istnieć Złota Horda (1480 r.). Synowie Achmata już się wynajmowali za dobry jurgielt (zapłatę) naszym królom Jagiellończykom. Szachmat, jeden z hanów kapczackich, wojując z Moskwą i hanem Krymskim Mengli Girejem, szukał sojuszu z królem Aleksandrem, ale wkońcu tak dokuczył ustawicznem wichrzeniem, że go musiano zamknąć w zamku Kowieńskim, gdzie też żywota w łańcuchach dokonał (1505 r.) na rok przed zwycięstwem Glińskiego nad Tatarami pod Kleckiem.

— Tam ojciec twój bił się po raz ostatni na wojnie — rzekła Bohowitynowa — i tam od strzały tatarskiej był srodze w nogę raniony. Dostał też od nowego a dziś nam jeszcze panującego króla Zygmunta, który w tymże roku po bracie nastąpił, ów futor pod Tulczynem, gdzie nas to srogie nieszczęście spotkało.

Dziewczęta słuchały wprawdzie opowiadania o Mongołach i Złotej Hordzie, ale przykrzyło im się cokolwiek, bo ciekawe były dalszych losów Jana na Krymie. Maryjka też się nieśmiało odezwała, prosząc brata, by im coś o tem powiedział. Na co pan Gozdawa mruknął:

— Jużto znać, mości panie, że u białogłów włos długi, ale rozum za to krótki! Niech tylko coś poważnego a mądrego mówić zaczną, już im się przykrzy, a to przecież ciekawa rzecz mości panie i każdego obchodzić powinno, bo się tyczy sąsiadów a srogich nieprzyjaciół naszych.

— My też słuchamy, proszę tatki dobrodzieja — odezwała się cicho Halka — i ja nawet pamiętam, jak się ci wszyscy hanowie nazywali i co robili, ale zawsze dla nas to ciekawsze, co pan brat na Krymie porabiał i jak się stamtąd wydostał.

III.

Brańcy. — Trzy szlaki tatarskie. — Klęska pod Sokalem. — Jaka rada na Tatarów.

Janek tedy ciągnął dalej:

— Kubalim dobrym był dla mnie bardzo, a choć nie mówił o swojej przeszłości, znać było, że teraz częściej myślał o ojczyźnie i serce jego zmiękło. Edyga, strapiony srodze po śmierci syna, siedział po całych dniach w swojej izbie, fajkę kurząc, a Kubalimowi zostawił zarząd nad dworem i niewolnikami, którym też lepiej dziać się poczęło. Dostawali obfitsze i lepsze jadło, a co wieczór, gdy ich Kubalim liczył i w szopie na noc zamykał, pozwalał nam iść z sobą; wtedy odmawialiśmy razem wieczorne pacierze i nawet śpiewaliśmy pieśń do Bogarodzicy, co im wiele ducha umacniało. I mnie się wtedy rzewnie na sercu robiło, stawał przed oczami dworek rodzicielski, gdzie co wieczór matusia z czeladką pacierze tak odmawiała, a potem pieśń wszyscy razem śpiewali.

— To pamiętałeś, synu mój miły — odezwała się Bohowitynowa, gładząc bujne włosy młodzieńca.

— Pamiętałem żywo, mateczko moja, jako i wszystkie nauki, co od was w dzieciństwie słyszałem i to mnie utrzymało, żem się nie dał temu pogaństwu, i jeśli prawdę mam powiedzieć, tom niejednemu dopomógł do utrzymania się w wierze ojców i wierności dla kraju.

W parę lat już po zabraniu nas w jasyr, wybrała się wielka nawała Tatarów na kraj nasz; znów **wi-**

dzieliśmy ich przygotowania i serdeczniej jeszcze modliliśmy się co wieczór za naszych rodaków, by ich Bóg od złego chronił. Ale tym razem inaczej widać sądzono było. Wybrało się Tatarstwo w samym środku lata naszego, około pory żniwa, a była tego moc ogromna. Han ze stolicy swej Bakczysaraju, jak zwykle tylko do szlachty (mirzów) rozsyłał gońców; ci zbierali swoich podległych, czyli wasalów, którzy po większej części powstali z uwolnionych, a ziemię uprawiających jeńców wojennych i ich potomków. Alboż to raz synowie i wnukowie tych, co niegdyś z naszej ojczyzny w jasyr zagnani byli, zapomniawszy i mowy, i wiary przodków, szli w szeregach tatarskich, i z pohańcami razem łupili i rabowali.

Na teraźniejszą wyprawę Edyga-bey sam się nie wybrał, ale posłał znów jednego syna ze sporym pocztem wojennym, tudzież z kilku powózkami sucharów i kilku workami pieniędzy, jak to szlachta tatarska zwykła dawać. Drugi syn seraskierem (wodzem) u Nohajców, także miał pędzić na kraj polski. A trzeba wiedzieć, że Tatarstwo ma już trzy zaznaczone szlaki, czyli drogi, któremi napada rzeczpospolitą naszą; od Oczakowa Kuczmański przez Sawrań, Kudem i rzekę Szarawkę, która do Bohu wpada, ku Lwowu; drugi od południa, Wołoski szlak, przez podolskie pola i Dniestr na Wołoszczyznę, trzeci Czarny szlak, po lewej stronie Dniepru, gdzie się kryli czas jakiś Tatarzy po przeprawie; ten także ku Lwowu zmierzał, ale przez Kaniów, Kijów nawet Zasław, Łuck i Sokal.

Tym to czarnym szlakiem teraz się wybrali Tatarzy, a kiedy wrócili, znać było, że się napaśli krwią i złotem z ojczyzny naszej, bo znów nawieźli łupów i jeńców sporo. Do Edygi syn Giwlet przywiózł w jasyr znowu gromadkę ludu naszego, a była między nimi i szlachta. Tej ostatniej do najcięższych robót bey używać kazał, żeby się o okup starali prędko. Na noc zamykano ich do lochu tego, gdzieśmy ze Staśkiem tyle dni i nocy spędzili; strawę mieli lichą i Kubalim nic na to poradzić nie mógł, bo od tego był stróż inny, Tatarzyn dziki i okrutny. Na robocie jednak można się było widzieć i rozmawiać z tymi brańcami.

Jeden z nich, Rogulski, szlachcic wysoki i srodze pokaleczony, na głowie zwłaszcza, nie tracił jednak ducha i mówił, że woli zginąć w jasyrze, a pohańcom ani jednego tynfa (pieniądz ówczesny) nie przysporzy... Ten nam rozpowiadał dzieje owej nieszczęsnej wyprawy.

— Już — mówił — Tatarstwo, nachwytawszy łupów co niemiara i ludu, a bydła naspędzawszy gromady, nim się wojsko rzeczypospolitej zebrać mogło, by tak wielkiej liczbie pohaństwa przeszkodzić, umykało z powrotem, kiedy nasi puścili się za niem w pogoń. Było wojsko i szlachta ruska, a połączył się z niemi niezmordowany książę Konstantyn Ostrogski z ludem swoim; wszystkiego razem zebrało się 25.000, a pogaństwa było 80.000. Nie dziwota to dla naszych, bo ileż to razy garstka Polaków, walcząc jak lwy, rozbiła całą nawałę tatarską.

Tatarzy byli tuż koło Sokala nad Bugiem, stary więc i doświadczony książę radził, żeby dać wielkiej hurmie Tatarów przeprawić się przez rzekę, a gdy ich część przejdzie na tę stronę, wtedy dopiero uderzyć. Tłuszcza nie szukała bitwy, bo wiadomo, że Tatar nie pragnie ani sławy, ani nawet krwi rolewu; tylko chciwi poganie ci na łupy i z tymi umykają. Starsi potwierdzili radę księcia Ostrogskiego, ale młodzi nuż narzekać, sarkając na księcia, że im zazdrości sławy wojennej, a pośmiewając się, że u niego, jako zabobonnika, wtorek dzień nieszczęśliwy, więc się bitwy boi. Najgorętszy był pan Frydrusz Herburt i ten się najwięcej bitwy napierał. Darmo książę ręce składał a prosił, żeby się choć do jutra zatrzymać, a tymczasem nadciągnie Tarnowski z Podola, i Litwa, i Wołosza; młódź ani słuchać nie chciała. Nie pierwszy to raz, i pono nie ostatni, niesforność ta stała się przyczyną klęski srogiej.

Książę rad nie rad, siadł na koń, a młodzież rzuciła się do przeprawy przez Bug. Tymczasem chytry wróg tajemnie nagotował doły i pułapki, w które nasi z końmi wpadali, a Tatarstwo z łuków strzelało z poza ogrodów i płotów, koło spalonego już przez nich miasteczka. Książę, widząc to, innym brodem się przeprawił i na pomoc swoim pospieszył; bili się jak lwy, ale napróżno: wśród ćmy Tatarstwa nie znać było nawet tych setek i tysięcy, które ginęły, a naszych szczupłe szyki coraz się zmniejszały. Przytem konie podnosiły taką kurzawę na ziemi pooranej i słońcem wysuszonej, gdzie bitwa się staczała, że widać nic nie było. Powoli Tatarzy, zwarłszy się swoim zwyczajem w wielkie koło ,otoczyli naszych ze wszech stron. Niektórzy ratowali się ucieczką (i to nawet senatorowie, jak kamieniecki, halicki), ale młódź nasza walczyła do śmierci. Sam słyszałem, jak Frydrusz Herburt, krewki, ale wielkiego serca młodzian, zawołał:

— Boże, tego nie daj, abym ja przy miłej braci, gardła nie miał dać! — i rzucił się między obręcz tatarską, ja za nim i w moich oczach go rozsiekali na sztuki. I jam padł, jak nieżywy, cięty szablą w samo czoło, ale mnie potem ocuconego na poły Tatarzy z pola bitwy zabrali i z sobą powlekli, bom miał odzież sutą i karabelę kamieniami sadzoną. Było to pod Sokalem, 20 stycznia 1519 roku.

Serce nam się krajało, słuchając opowiadania szlachcica.

— Oj, pamiętam tę sokalską klęskę — odezwał się pan Gozdawa — ale przecie już potem nasi nieraz pohańców pobili; ot, niedalej, jak lat temu trzy, ten sam książę Ostrogski wjeżdżał do Krakowa z więźniami i proporcami tureckimi (1527 r.), król mu dziękował, a lud okrzyki wydawał na cześć jego. Ale co to ludu naszengo w tych wojnach naginie, a większa jeszcze szkoda tych, którzy marnie zgniją w jasyrze, albo się tam poturczą .

— Moim niewieścim rozumem sądząc — odezwała się pani Bohowityn — przecieżby temu jakoś zaradzić można, a granic naszych od tego najezdnika bronić.

— Wiele o tem gadają i radzą: ot, i pan Ostafi Daszkiewicz, wielki Tatarów pogromca, najlepszy zda mi się podaje suosób. Otóż kiedy pan ten do Krakowa przybył, na pokaz przywożąc wielkie kule od strzelb tatarskich, przeciw którym się bronił na zamku Czerkaskim, król nasz miłościwy dziękował mu i dał dwa zamki za Dunajem, a inni panowie podarki mu składali, przyczem go pytano, jakby najlepiej zaradzić tym napadom tatarskim. Radził tedy pan Daszkiewicz, żeby na ostrowach (wyspach), które są na Dnieprze, wszędzie zameczki budować, a choć ustawicznie ze 2.000 ludzi, którzyby na czajkach bronili Tatarom przeprawy, oraz z kilkaset jazdy, któraby się o żywność troskała dla tej załogi. I pewno, że toby się najlepiej udało, ale jak zaczęto rozważać, tak do tej pory nic nie zrobiono, a Tatarzy, jak łupili, tak łupią i nieledwie co rok rzeczypospolitej krwi upuszczają.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Podanie o Stanisławie i Annie Oświęcimach.

I.

Wielkie wojsko moskiewskie obległo garstkę Polaków w Smoleńsku. Dzielnie wprawdzie bronili się oblężeni, lecz wobec przeważających sił nieprzyjaciela nie mogli długo utrzymać miasta w swojem posiadaniu, a im samym groziła ciężka niewola lub śmierć. Niedarmo jednak zasiadał wówczas na polskim tronie rycerski król Władysław IV (1632—1648). Król Władysław niespodzianie zjawił się ze swemi dzielnemi wojskami pod Smoleńskiem i sam znowu obległ Moskali w ich własnym obozie.

Sytuacja wojenna zupełnie się zmieniła, a Moskale prośbami i haniebnem oddaniem armat i sztandarów uratowali swe życie. Moskwa zupełnie upokorzona, musiała zawrzeć korzystny dla Polski pokój nad rzeką Polanówką w r. 1634. Po tak świetnej, a krótkotrwającej wojnie, odpoczywał bohaterski król-wódz wśród zwycięskich wojsk, wspominając ze swoim towarzyszem dalekich podróży i licznych zabaw Stanisławem Oświęcimem ubiegłe lata młodości, wspólnie spędzane.

— Pragnąłeś — rzekł król — Stanisławie już dawno odwiedzić swego ojca i rodzinne strony, więc teraz, gdy Bóg nam pozwolił tak szczęśliwie ukończyć wojnę, jedź wesoło, a pamiętaj, że cię będziemy oczekiwać.

Król wydał jeszcze Stanisławowi zlecenia poufne, które w czasie podróży miał pozałatwiać.

Na drugi dzień rano z niedużym, lecz doborowym oddziałem wojska znikł Stanisław w pobliskich lasach, a tylko odgłosy chóralnego śpiewu dochodziły jeszcze czas jakiś do królewskiego obozu.

II.

W pięknym modrzewiowym dworku pod Krosnem (w Potoku) panował niezwykły ruch. Powrócił bowiem Stanisław, syn pana Florjana Oświęcima, sławny rycerz i dworzanin królewski. Matka Stanisława, a pierwsza żona p. Florjana, Regina dawno umarła, a ojciec ożenił się po raz trzeci z Barbarą z Szamot. Stanisław lat kilkanaście nie bywał w rodzinnym domu, nie mógł więc znać młodszego rodzeństwa. Zdziwił się więc bardzo, gdy młodziutka, wysmukła, a cudnej urody dziewica powitała go, jako swego brata, a siostrzany, powitalny pocałunek, złożony na jego czole, rozniecił w nim ogień miłości ku Annie, córce p. Barbary. Od tej chwili Anna była dla Stanisława nietylko siostrą, lecz ukochanem i droższem nad życie bożyszczem, prócz niej nic dla niego na świecie nie istniało. Dla Stanisława i Anny życie było teraz nieprzerwanym, pięknym snem, który jednak boleśnie miał się zakończyć. Opowiadał jej dniami całemi o swoich podróżach, o obcych ludziach i krajach, żyć bez siebie nie mogli. Młodzi Oświęcimowie nie zdawali sobie jeszcze sprawy ze stanu swych uczuć, gdy pomiędzy otoczeniem ich poczęły głuche krążyć wieści, że Stanisław i Anna nietylko braterską i siostrzaną dla siebie żywią miłość. Młodość i miłość szlachetna to chyba najcenniejsze skarby w życiu ludzkiem, lecz miłość, by przyniosła zadowolenie stałe, szczęście możliwe na ziemi, musi się opierać na miłości Boga, na posłuszeństwie dla Jego przykazań, inaczej prędzej lub później staje się cierpieniem, męką przerastającą siły ludzkie. Anna zrozumiała, że dłużej z bratem pozostawać nie mogą, wyznała mu, że go kocha więcej, jak brata i prosiła, by udał się w świat, a może w trudach i pracy znajdzie kiedyś ukojenie bólu i częściowe bodaj z latami zapomnienie o miłości nieszczęśliwej; ona zaś sama cierpi duchowo bardzo, i gdyby pozostawali nadal razem, to świadomość winy takiej miłości byłaby dla niej ciężarem nie do zniesienia, gdy zaś się pożegnają, to cierpienie rozstania będzie tak okrutnem dla niej, że długo go nie przeżyje, i czuje, że to życie bólu niedługo się zakończy.

Stanisław miał wrażenie, że wpada w przepaść straszną, podczas gdy ukochana Anna cierpi bardzo od wrogów niewidzialnych, a on jej nie może iść z pomocą. Tonący brzytwy się chwyta, mówi przysłowie, i Stanisław postanowił za wszelką cenę ratować nie siebie, lecz Annę. Zamiar więc, by udać się do papieża i błagać go o pozwolenie na zawarcie ślubu z Anną wydał mu się jedyną drogą ratunku, a ponieważ zdrowie Anny poczęło budzić obawy, więc też Stanisław niezwłocznie i spiesznie wybrał się w daleką drogę. Sprawa udzielenia dyspenzy wymagała czasu, rozpatrzenia i przesłuchania świadków w kraju. Stanisław jednak z nadzieją wracał w rodzinne strony. Podróż taka trwała w ówczesnych czasach długo i nie można było otrzymać żadnej wiadomości. Stanisława w dalszej, powrotnej drodze zaczęły trapić dziwne i smutne przeczucia, powracał więc, jak mógł najszybciej. Na powitanie w domu rodzinnym zobaczył na twarzach domowników wróżbę nieszczęścia, bez pytania zatem rzucił się do pokoju Anny... i zastał już tylko zimne zwłoki ukochanej siostry, która zmarła 13 stycznia 1647 r. Stanisław skamieniały z bólu, bezmyślnie wpatrywał się w rysy twarzy tej, którą ukochał nad życie, nad sławę, nade wszystko.

W Muzeum Narodowem w Krakowie znajduje się piękny obraz Stanisława Bergmana: „Stanisław Oświęcim przy zwłokach Anny“, numer obrazu 17.

III.

Stanisław w ciężkim smutku pogrążony unikał ludzi, między którymi czuł się bardziej samotnym, aniżeli wśród pól rozległych i w okolicznych lasach, w których często dni całe spędzał. Zdawało się, że nieszczęście złamało w nim na zawsze chęć do życia, że niema już żadnego celu w życiu, że niemasz dla niego ratunku. Dowiedział się o nieszczęściu kochanego dworzanina król Władysław i starał się go listownie pocieszyć, jakkolwiek sam nieszczęśliwy, ponieważ niedawno umarła mu żona, Cecylja Renata († 24. III. 1644 r.), królowa łagodna i cicha, a w roku śmierci Anny spotkał króla również ciężki cios, śmierć ukochanego synka, który umarł w 7 r. życia. List króla nie wywarł większego wrażenia na Stanisławie. Wiosna się kończyła, gdy w czasie jednej ze swych samotnych wycieczek spotkał Stanisław sędziwego kapłana ks. Decowskiego, który znał Oświęcima dzieckiem jeszcze i udzielał mu chrztu św. Stanisław, jak zwykle chciał uniknąć rozmowy, lecz staruszek żywo pospieszył ku niemu ze słowami:

— Bóg z tobą, Stanisławie!

Po przywitaniu się, dłuższy czas szli obydwaj w milczeniu, tylko kapłan, wybitny znawca dusz ludzkich, pilnie patrzył na Stanisława, wreszcie przerwał przykre milczenie:

(Dokończenie nastąpi).

POCAŁUNEK JUDASZA.



Zdradę Judasza przepowiedział Pan Jezus już w czasie Ostatniej Wieczerzy. Gdy się Go Apostołowie pytali, dlaczego posmutniał, odrzekł: „Zaprawdę wam powiadam, jeden z was mnie wyda!" A gdy Judasz zadrżał na te słowa i zapytał, czy o nim myśli Pan Jezus, usłyszał odpowiedź potwierdzającą.

Kiedy więc zstępował z Góry Oliwnej, zastąpili Mu drogę uzbrojeni żołnierze, chcąc Go pojmać i przed sąd postawić, jako burzyciela porządku społecznego. Ponieważ jednak Pan Jezus był w towarzystwie Apostołów, nie wiedzieli, kogo mają ująć, który z idących jest poszukiwanym Chrystusem. Lecz z żołnierzami przybył również Judasz, który, jak wiadomo, umówił się przedtem z żydami, iż ten, którego na powitanie pocałuje, jest poszukiwanym Chrystusem. Zbliżywszy się więc do Pana Jezusa, rzekł: „Bądź pozdrowion Mistrzu!" — i złożył na Jego twarzy zdradziecki pocałunek.

Pan Jezus, który znał cel pocałunku Judasza, ozwał się smutnym głosem:

— Przyjacielu, pocałunkiem zdradzasz syna człowieczego?

Rzekłszy to Pan Jezus, zwrócił się ku przybyłym siepakom i zapytał: — „Kogoż szukacie?"

— Jezusa z Nazaretu!

— Jam ci jest ten, którego pochwycić chcecie!

Nie spodziewali się żołnierze takiej szczerej odpowiedzi, spojrzeli więc z podziwem na Pana Jezusa i upadli przed Nim na twarz przestraszeni. Podnieśli się jednak wkrótce, nie wiedząc, co czynić mają dalej. A Pan Jezus zapytał ponownie:

— Kogoż więc szukacie?

— Jezusa z Nazaretu! — odpowiedzieli Mu poraz wtóry.

— Jam jest — odrzekł Chrystus. — Czyńcie, co wam polecono!

Rzucili się żołnierze na Pana Jezusa, a On ręce dobrowolnie wyciągnął, aby się dać skrępować. Oburzyli się Apostołowie i zamierzali stanąć w obronie swego Mistrza, a nawet św. Piotr dobył miecza i uderzył na napastników tak, że odciął ucho Malchusowi. Pan Jezus jednak nie chciał obrony, gdyż wolą Jego było cierpieć i umrzeć dla odkupienia człowieka. Polecił więc św. Piotrowi schować miecz, a przyłożywszy ucho Malchusa do jego głowy, uzdrowił je. Podał im następnie bez oporu swe ręce do związania, a gdy je żołnierze związali, zarzucili na szyję Pana Jezusa powróz i jakby jakiego zbrodniarza poprowadzili Go przed oblicze arcykapłana Annasza.

Judasz dopiął swego celu: za podłą zdradę Pana Jezusa otrzymał od żydów trzydzieści srebrników, co było na owe czasy bardzo dużą sumą, i zdawało mu się, że będzie teraz mógł żyć w spokoju bez pracy. Jakżeż jednak zawiódł się srogo! Wyrzuty sumienia tak go dręczyły, że nie zaznał chwili spokoju. Otrzymanych srebrników nie zużytkował, gdyż oddał je żydom, myśląc, że w ten sposób odpokutuje swą straszną zbrodnię. Niestety, wina była zbyt wielka i kara więc musiała jej być równa. Nie było chwili, w którejby mógł był zapomnieć o swej zbrodni. I nie zapomniał, aż do chwili, gdy nie zawisł, jako samobójca, na drzewie, by opuścić ten świat i przenieść się do piekła.



MACIEK BZDURA GADA:

Nie wiem, cyby się komu z was chciało gadać, jakby był na mojem miejscu. Gospodyni się na mnie pogniewali od dawego casu, ze, jak padają, obrzydzenie ich zbira, kiedy mnie zuźrą, przeto tez i o zarciu la mnie nie pomyślą. A Kaśka?... Kaśka to psuby prędzej dała, anizeli mnie. Latego tez, jakbym se tak sam jako tako nie radził, tobym prędzej zdech, jak ten pies, ftóry choć byle co, ale przeciez trzy razy dnia skapnie cojnieco. I powiadam wam, ze casem lepiej być na świecie psu, anizeli bidnemu sirocie bez baby, bez dziecek i inksego nieszczęścia. A na dobitek złego, to jesce Poniezus ten święty pust wymyślił i to kiedy? Akuratnie na samem przednowku! Nie mógłby on być w maju, jak juz nie przymirzając w choinie jakiego takiego grzyba uciułać mozna, albo w sirpniu, jak na jabłonce u Grzeli jedno i drugie jabłusko się zarumieni, albo wreście jesienią, jak u Maćgały na ścirnisku rzepa obrodzi. I tak cy to w maju, cy sierpniu, cy wreście w jesieni mógłby se cłek cemniebądź przyrodzenie naprawić, a jakby wanciuch był pełny, toby ta mozna było pościć od zmroku do świtania. A tak to co? Ino cłek ślipia przetrze i zawoła na Kaśkę, coby mu zryć dała, to ona do niego z pazurami i prawi:

— Cie go! Jesce w niego zółtko nie wlazło, a juzby zar! Zackaj! Jak przyndzie cas, to dostanies, co ci się nalezy!

Cłek ceka tedy jedne godzine i drugą, a jak mu juz bardzo kiski zacną marsia grać i znowu się odezwie do Kaśki, zeby mu przecie raz dała, co potrzeba, to ta zaraz na niego wsiędzie i prawi:

— A ty smoku jakisik piesecki! Widziałeś ty, zeby ludzie o tem casie kiedy jedli. Do połednia jesce dwie godziny, a onby juz niećciwiara zar! Przyndzie cas, to się nazres, jaz ci usy spuchną!

I tak człowiek ceka cierpliwie do połednia, a jak przyndzie połednie, to wam postawi na stole ciarapke zimniaków, omasconą cosnkiem i kaze jeść. Cłek ta nie ślachcic i grymasić nie lubi, ale przecie kuzden rozumny człowiek przyzna, ze lepiejby sie wsuwały, nie przymierzając, pirogi, jak zimniaki z cosnkiem. Ale pedzieć nic nie śmis, bo przecie chwalić Boga, ze i to jest. A jakbyś nawet cojnieco powiedział, toby ci zaraz Kaśka z postem wyjechała, zeby ci sie do reśty jeść odniechciało.

Nie wiem, moze ta są na świecie gdzie ludzie, co jesce po obiedzie, choćby wiecorem, jesce co jedzą. Mnie się to bez cały post nie trafia, bo Kaśka nie da i kuniec. Wkiejsik powiadam jej:

— Kasiu! popatrz no! Jakbym tak gębę rozwarł, a tyś do niej kamyk cisnęła, toby, jak amen w pacirzu drugą stroną wyleciał i nie miałby się o co zatrzymać. Miejze wyrozumienie i nie rób z człowieka takiej bramy przejezdnej, bez którą wszyćko bez zatrzymania sie przejechać moze.

Pojrzała na mnie i widziałem, ze ją bez rycynusu sumienie rusyło, ale sie zaraz zmitygowała i powiada:

— Ja ta, wis Maciuś, sama uwazam, ze twój zywot nie bardzo rozkosny, ale cóz mam robić? Gospodyni sie na ciebie zaciekli i powiadają, ze jak sie tak dokumentnie przepościs, to prędzej sie ustatkujes i nie będzie cie ponosiło za dzieuchami!

To sie ino raz tak Kaśka na demną ulitowała, ale i tak nic mi z tego nie przysło, bom i tego dnia, tak, jak i w inkse posed bez jedzenia spać.

W tem wszyćkiem ino mnie to pociesa, ze przecie wszyćko ma swój koniec, to i ten święty pust nietylko la inksych, ale i la mnie sie skońcy. Powiadali wkiejsik jegomość, ze ino kwiecień nastanie, to przyjdzie Wielganoc i kuzdemu sie zywot naprawi i będzie dobrze. Ja, jagem był w mieście, tom se juz upatrzył u jednego rzeźnika śtyry łokcie kiełbasy, plebańskie kury chwaliły się, ze lada dzień będą niesły jajka, a jak naniesą, to pójdę do jegomości i poprosę, coby i mnie dali, a wiadomo, ze nasi jegomość tacy dobrzy, zeby sie jednem jajkiem z całą parafją podzielili, to i mnie nie odmówią. U Stękały za górą rośnie krzonu nie miara, to se go i bez prosenia naskubie i takie se galantne święcone zrobię, jakiego świat i korona polska nie widziała. Ino zeby jak tego święconego docekać, bo sie coraz cieńsy w pasie robie i jak tak dalej pójdzie, to nim święta nastaną, to przez dziurke od kluca do nieba sie przesmykne. Święty Piotr będzie sobie z tamtej strony w niebie z klucami chodził i ani sie nie spodzieje, jak ja sie po drugiej stronie bramy znajde. A wtencas dopiero gospodyni se przypomną i powiedzą:

— Oj nie było to, nie było, jak był Maciuś! Cłek go nie sanował, a on przecie nie był taki zły, jak mi sie wydawało.

A ja se temcasem z aniołkami przy stole zasiędę i od świtu do wiecora będę pirogi całemi garściami zajadał i chwalił będę Pana Boga, choć bez muzyki, bo mi kiski marsia nie będą grały. I Poniezus sie nie będzie na mnie gniwoł, ino mi powie:

— Dość sie bidaku na tamtem świecie nacirpiałeś, to se choć tutaj krzynke odpocnij!

I będę odpocywał i zapomne i gospodyni, i Kaśce zapomne i tem wszyćkiem zapomne, co mi krzywde na tamtem świecie robili, bo przecie, jak powiadają jegomość, najładniejsą rzecą jest krzywdy ludziom darować.

Myśli.

Powiedział raz ktoś zdanie, nie pomnę kto taki,
Że z konia chromego, psa leniwego, chłopa pijanego,
[pożytek jednaki.

☆

Za życia żałuj za grzechy szanowny asanie,
Bo po śmierci podobno już późny żal za nie.

☆

Mleć za dużo językiem też nie będzie cnotą,
Bo tak mówi przysłowie, że „milczenie złoto".

☆

Gdy co robisz, rób szczerze i miej to na względzie,
Że podobno „bez pracy kołaczy nie będzie".

☆

Nawet i Duch Święty też rodzicom radzi,
Że dla krnąbrnych dzieci, rózga nie zawadzi.

Piotr Wenc.

Dawna poczta.



Niejeden z naszych Czytelników niecierpliwi się i to zupełnie słusznie, jeżeli »Rola« zamiast w oznaczonym dniu przyjdzie mu o dzień albo dwa później. Niecierpliwi się, jak powiedzieliśmy, słusznie, gdyż on opłaca prenumeratę, a my z tych pieniędzy opłacamy pocztę, wobec czego każdy za swoje pieniądze powinien być jak najpunktualniej obsłużony. Powinien, a jeżeli nie jest, to rzadko o to winić można pocztę, ale niesumiennych pośredników, którzy nie swoją rzecz w drodze przetrzymują. Czynią to najczęściej naczelnicy gmin, albo posłańcy gminni, narażając przez to Czytelników naszych i nas na nieprzyjemności. Jeżeli taki niesumienny pośrednik w drodze „Roli“ nie zatrzymuje, to musi ona w każdym tygodniu jednego i tegosamego dnia do rąk Czytelnika dochodzić. My bowiem w każdym tygodniu o jednakowej porze we czwartek „Rolę“ z Krakowa wysyłamy, a jeżeli we czwartek jest święto, to ją wysyłamy już we środę. Wiadomo, że codziennie o jednej porze pociągi kolejowe z Krakowa odjeżdżają i o jednej porze na każdą ze stacyj przyjeżdżają; o jednej porze codziennie poczta z kolei wszelkie przesyłki odbiera i o jednej porze powinna je doręczać do rąk adresatów. Każdy więc z Czytelników powinien jak najregularniej co tydzień gazetkę otrzymywać. Jeżeli dzieje się inaczej, to stanął tu gdzieś w drodze zły człowiek, który cudzej własności nie szanuje, bo rzadko się zdarza, aby kolej się pomyliła i dowiozła gazetkę do X. zamiast do Z.

Inaczej było w dawnych czasach, gdy nie było jeszcze kolei, a wszelkie przesyłki musieli przewozić konni posłańcy. Czas przebycia pewnej odległości zależał od wielu okoliczności, a więc od pogody, od dobroci dróg, od wytrzymałości konia i wielu innych rzeczy. Nic też więc dziwnego, że w doręczaniu nie mogło być tej punktualności, jak dzisiaj być powinna.

Dla uzmysłowienia sobie, jak wyglądała dawniej poczta, wprawdzie nie u nas, ale na drugiej półkuli, zamieszczamy powyższy obrazek. Przedstawia on pocztę w XVIII wieku w Argentynie. Przesyłki przewozi konny posłaniec w pakietach umieszczonych po obu bokach zwierzęcia. Jeżeli tych przesyłek było więcej, to szły one powolniej, bo zwierzę ze zbyt wielkim ciężarem nie mogło zbyt pospieszać.

Róża.

Legenda.

Cisza nocna zalegała świat, ustały śpiewy ptasząt, drzewa przestały listeczkami szeleścieć, a potok Cedron ciszej toczył swe wody i było cicho, tak cicho jak nigdy. Na Górze Oliwnej, w ogrodzie Getsemańskim pod drzewami cedrów spał człowiek, lekki wietrzyk miłośnie muskał jego skronie, a kwiat róży pieścił go swą wonią. Księżyc świecił jasno, rzucając snopy światła na piękną i szlachetną, pełną miłości i dobroci twarz, przyoblekłą bladością i smętkiem. Tuż niedaleko stóp śpiącego człowieka rosła róża, a pochyliwszy główkę swą, starała się dotknąć nóżek Jezusowych.

— Gdybym tylko mogła dostać! — szepnęła i wyprężyła się, jak struna, zebrała wszystkie siły, a dostawszy główką swą różaną nóżek Pana, wycisnęła na nich gorący pocałunek. W tej chwili mały ptaszyna zaśpiewał najpiękniejszą ze swych piosenek.

Otworzył Jezus miłosierne i dobre swe oczy, a ujrzawszy słowika nad głową Swoją, a różę u nóg — rzekł:

— Bądź błogosławiona różo miłości, kwiat twój najbardziej będzie ceniony i kochany.

— Panie! Ja czuwam u świętych stóp Twoich wraz z tą małą ptaszyną, gdyż ludzie Twoi posnęli — rzekła róża.

— Błogosławiony niech będzie mały ptaszyna, a śpiew jego niech ukaja rany smętnym i opuszczonym w nocnej ciszy.

Podniósłszy się Jezus z ziemi, a popatrzywszy miłości pełnemi oczyma w gwiaździste niebo, zaczął się oddalać.

— Panie! Miej litość i nie odchodź: — rzekła róża, a spojrzawszy błagalnie w oczy Jezusowe — szeptała: Błogosławię tę chwilę, w której poznałam Cię, Panie, i umiłowałam.

— Nie mogę zostać: taka jest wola Ojca Mojego, abym szedł, ale powiadam ci, że przyjdę jeszcze.

Tedy Jezus zawołał uczniе Swoje i odszedł. Próżno róża szarpnęła się raz i drugi, lecz daremnie, nie wyrwała swych konarów, które głęboko były wrośnię-

te w ziemię i musiała zostać na miejscu samotna, gdyż ptaszyna poleciał za Jezusem, odprowadzając Go.

— Jezu! Wróć do ogrodu, nie chodź między łotrów gromady, którzy Cię nienawidzą i bluźnią przeciw Tobie: — wołała róża, a spuściwszy swą strapioną główinę, zaczęła płakać i modlić się:

— Przyjmij, Jezu, te moje łzy, serce i duszę. Więcej nie mogę nic uczynić dla Ciebie, jak Cię jeno miłować.

Zrobił się ruch w ogrodzie i słychać było pytające szepty: Dlaczego ona płacze? — pytały wszystkie kwiaty i rośliny. Dlaczego płacze? — pytały drzewa oliwne? Dlaczego płacze — pytało wszystko.

— Ona płacze Jezusa, który taki dobry, miłości pełen, a ludzie Go chłostają obelgami i zabić Go mają, a róża na to nic nie może poradzić — rzekł słowik.

Zadrżał cały ogród i jęknął tak boleśnie, że cała Jerozolima słyszała ten jęk. Tedy słowik — zawołał:

— Zaprawdę miłość jest dziwą rzeczą; jest ona kosztowniejsza od szmaragdów, i droższa niż szlachetne opale — i łzami zaszły mu malutkie oczka.

— To chyba prawdziwa miłość, — mówił słowik dalej — bo przecież nie znałem Jezusa, a noc po nocy śpiewałem Mu, noc po nocy opowiadałem Jego dzieje i kochałem Go, chociaż nie znałem Go, i oto teraz widziałem Tego Pana, co stworzył miłość, co ukochał świat i za niego da się ukrzyżować.

Usiadł słowik na drzewie figowem i zadumał się. Po chwili rozwinął swe szare skrzydełka i uniósłszy się w górę, pofrunął i nie było go długo w ogrodzie. A gdy jedej nocy gwiazdki ciemniej świeciły, jak zawsze, a księżyc skrył się za chmury i nie chciał patrzeć na to, co za chwilę miało nastąpić, w tę noc słowik przyfrunął i zaczął śpiewać, o pojmaniu Jezusa, o biczowaniu, o ostrej koronie, o krzyżu, na którym zawiśnie, o włóczni, która serce przeszyje na wylot. Zposępniał cały ogród, a drzewa smutnie zaszumiały.

W tej chwili Jezus stanął przed kwiatem róży, a pogładziwszy dłonią jej koronę — rzekł:

— Nie płacz ja umrę, ale zaprawdę powiadam ci, że wstanę.

Potem oddalił się. Padł na oblicze Swoje, modlił się:

— Ojcze, jeśli można, oddal ten kielich ode Mnie: ale nie Moja, lecz Twoja wola niech się stanie.

I znowu modlił się Jezus poraz wtóry.

— Ojcze, jeśli nie może być, aby Mnie ten kielich minął, ale abym go pił, niech się stanie wola Twoja.

Zaśpiewał słowik tak boleśnie, że ktoby był słyszał, byłoby mu serce pękło z żalu, a roża wydała silną woń, że Apostołowie upojeni jej zapachem nie byli w stanie modlić się i oprzeć senności.

I znowu Jezus modlił się poraz trzeci, a pot krwawy strumieniem spadał na ziemię. Za chwilę przyszła zgraja pachołków i sług kapłańskich z mieczmi, kijami, pochodniami, a pojmawszy Jezusa, związali i wyprowadzili z Ogrojca. Wielka boleść szarpała sercem róży i prosiła słowika, aby leciał za Panem i przynosił jej wiadomości, a także, by przyniósł jej jeden cierń z korony Jezusa. A gdy Jezus zawisł na krzyżu, przyłożył słowik swój mały dzióbek do ciernia i chciał go wyrwać — mówiąc:

— Panie! daj jeden cierń róży, dla róży w ogrodzie ten cierń chcę ułamać. I ułamawszy kawał ostrej szpili, odleciał do ogrodu. A róża wołała do słowika:

— Jezus żyje?

— Kona! — rzekł strwożony ptaszyna.

Tedy zawołała róża do słowika:

— Przyciśnij ten cierń do krzewu mojego i wbij go w serce moje.

— Tego nie uczynię, byłoby to zbrodnią, chcesz bym był równy Loginowi, który przebił serce Jezusa — rzekł słowik.

— Słowiczku, ja ci nie rozkazuję, ale cię proszę przyłóż ten cierń i przyciśnij go.

Przycisnął słowik cierń, a listki delikatnie zaczęły drgać.

— Przyciśnij mocniej mały słowiczku.

Słowik przycisnął mocniej, a cierń wbił się w serce róży, a sercem tem przeniknął straszny ból. Skłoniła się cała i upadła na ziemię. Wtenczas zaćmiło się słońce, ziemia zadrżała, Jezus umarł. Zaśpiewał słowik, ale go w gardziołku dławiło, a gorzki był ten śpiew i dziki, bo śpiewał o miłości, która śmierć sprowadza.

Dnia trzeciego, a było to w niedzielę rano, zobaczył słowik Jezusa idącego aleją ogrodu. Wielka jasność biła od Niego i był piękny, tak piękny, że nikt nie zdoła opisać Jego piękności.

Zatrzepotał się ptaszyna z radości i zaczął śpiewać:

— Alleluja Jezus żyje! Różo wstań i patrz! Pan idzie!

Ale róża się nie ruszyła, bo leżała na ziemi z ostrem cierniem w sercu. Przyszedł tedy Jezus do róży, a dotknąwszy się jej zwiędłych listków — rzekł:

— Podnieść się, przecież mówiłem ci, że wstanę.

I oto podniosła się i była piękniejsza, niż przedtem.

— Za twoją miłość ku mnie — rzekł Jezus — zostawiam ci na wieczną pamiątkę ten cierń boleści serca, aby wiedziano, że jeno przez cierpienie osiąga się szczęśliwą wieczność.

Maryśka z Kamionki.

Na niedzielę Palmową.



Po kościołach światła płoną,
Smutnie jęczy dzwon...
Łzą żałoby wzbiera łono
Na Chrystusa skon.

Grają dzwony, smutno grają,
Wśród żałosnych ech;
W ukorzeniu serca łają,
Pierś wstrzymuje dech...

Lecz po strasznych dniach Golgoty
Odrodzi się świat...
Miną smutki i zgryzoty,
Szczęścia zejdzie kwiat!

Oto ziemia już z uśpienia
Nowem życiem drga!
Świat się szczęściem rozpromienia
Choć jeszcze człek łka.

Antoni St. Bassara.

LUDWIK ST. UNSING.

Wskrzeszenie Łazarza.

Zara szarpnęła lekarza gwałtownie, a patrząc nań iskrzącym wzrokiem, na pół już błędnym, rzekła: ratuj!

Rozwarł ręce bezradny i odparł: Zapóźno!

W dziedzińcu rozległ się hałas, szczęk broni, a po chwili do komnaty, gdzie panował śmiertelnie przykry nastrój, wtargnął najzuchwalej gwiżdżąc, centurjon ze Sjonu.

W ręku miał zwinięty w rulon rozkaz aresztowania, którego dokonać miał na osobie Łazarza... Zabłysły latarnie rzymskie w izbie i oświetliły postacie dwu płaczących sióstr, zrozpaczonej Zary siedzącej na krawędzi łoża z załamanemi rękoma, przygnębionego mistrza Jonathana, dwu lekarzy i zwłoki budowniczego...

Ogarnęło go zdumienie i jakby nie wierząc sobie, zdarł okrycie z ciała Łazarza... potem splunął i rzekł: Już zdechł... Zawrócić!

XI.

Trzy cudy.

Dnia następnego wyszła ze Sjonu wieść o śmierci Łazarza i rozeszła się po całej Jerozolimie. Dowiedział się też i Pontius Pilatus. Człowiek ten przechodząc mimo różowego portyku gdzie stał jeszcze ów niedokończony posąg, patrzał w to dzieło ze smutkiem i kiwał głową... Niezależnie od tego, jak zapatrywać się będą władze ze Sjonu, wysłał on na pogrzeb sławnego człowieka, całą centurję wojska, chcąc w ten sposób uczcić jego pamięć. Sanhedryn znów, chcąc przekonać się, czy pogrzeb nie jest pozorny, wysłał ze swego ramienia cały sztab powierników, a gawiedź jerozolimska, zdjęta ciekawością podążała za nimi.

Ciało zmarłego wedle zwyczaju namaszczono olejkiem spikonardowym i owinięto w białe prześcieradła, a czynności tej towarzyszył ogólny płacz i lament. Powiemy jeszcze, że dziwną jest natura ludzka: Sąsiedzi, co przejęci grozą klątwy, nie byliby wczoraj przekroczyli progu tego domu, dziś weszli tam wszyscy, a każdy płakał, wzdychał i pocieszał... Co więcej, płakał nawet Elizeusz, chociaż w rzeczy samej nigdy może nie był bardziej zadowolonym.

Przystąpiono do obrzędu pogrzebowego.

Powstał zgiełk, hałas, rozchodziły się piski płaczek, wycie gawiedzi, a wśród tego jęki prawdziwej boleści Marji. Marta i Zara milczały; byłyto natury w sobie zamknięte i dlatego może żal ubezwładniał je do tego stopnia, że utraciły świadomość siebie i tego co się działo.

Zwłoki złożono w grobowcu wykutym w skale, a położonym na obszarach własnych posiadłości, gdzie przychylni wrzucali całe pęki róż, poczem wejście zatarasowano kamiennym głazem...

I od tej pory oddzielonym został ceniony niegdyś mistrz od reszty świata, pozostawiając po sobie tylko echa i żal swych najbliższych.

Zwolna rozszedł się tłum do domów, unosząc z sobą po cząsteczce wrażeń, a w domu żałoby pozostali nieliczni sąsiedzi, by cieszyć stroskane siostry. O Zarze pamiętał tylko lekarz truchlejący na myśl o zemście tetrarchy. Ponieważ od chwili gdy Aryus wykonał ów nieszczęsny rozkaz, poczęła niedomagać i niknąć niemal w oczach, biedny lekarz, wiedząc, że zato głową swą odpowie, przyjął propozycję Jonathana i umknął z nią z pałacu. Rozumiał wtedy, że zetknięcie się z chorym wprawdzie, ale żyjącym Łazarzem; zmieni przynajmniej rozpaczliwy kierunek myśli, co ułatwi mu kurację. Tymczasem śmierć budowniczego zrobiła skutek wprost przeciwny. Nie mówiąc już o przerażającej zmianie w umyśle; twarz jej pokrywała się sinawymi plamami, miejscami obrzmiewała, oczy świeciły jakimś nienaturalnym blaskiem i zaciśnięte usta pienić się poczęły... Alabastrowe dawniej ramiona, dziś sine i drżące, obejmowały zimny głaz grobowy, a piersi wyrzucały z siebie całe potoki chrapliwych westchnień...

Wszystko to przyprawiało lekarza o rozpacz wcale nie płonną, — z jednej strony bowiem, widział, że sprawa w najlepszym razie skończy się umysłowym kalectwem, lub bezwładem, a z drugiej, że go spotka śmierć z ręki Aryusa... Nic dziwnego, że chwilami chciał uciekać przed zemstą tetrarchy, jednakże wstrzymywały go inne myśli, daleko szlachetniejsze. Mógł wprawdzie ratować się ucieczką, ale zato, na pastwę morderczych rąk Aryusa wydałby żonę i dzieci, które kochał i był kochany, a jako człowiek szlachetny, nie mógł się zgodzić na czyn podobny. Nie chciał także opuszczać Zary w tak nieszczęsnem położeniu, wiedząc, że jest ona stokroć nieszczęśliwszą bo skazana na kalectwo fizyczne i moralne...



Łazarzu wynijdź z grobu

Z tem wszystkiem wezwał na pomoc kolegę zajętego u Jonathana, poczem obaj oderwali ją przemocą od grobowca i zanieśli do domu. Pozatem nie można było nic przedsięwziąć, gdyż nie przyjmowała leków, ani pożywienia. Czuwano więc tylko, aby w przystępie ataków rozpaczy, nie zrobiła sobie co złego... Nastała noc...

Wśród ciszy i półmroku, ukazało się pomiędzy grzędami białe widmo z rozwianemi włosami, dążące w kierunku grobowca, a za nim snuł się czarny cień lekarza...

I słychać było wraz z powiewem wiatru, także cichy, ale przejmujący do głębi głos prośby:

— Pani o pani, miej litość nademną, wszak ja mam dzieci i żonę... Lecz widmo mknęło naprzód, a dopadłszy grobowca, rzuciło się nań z jękiem rozpaczy, głuche pozatem na cudze troski... Cóż było robić?

Stał chwilę i patrzał, pótem gniew go porwał... lecz po chwili litość przemogła.

Wiedział wprawdzie, że padnie ofiarą, ale świadomość ta kazała mu pamiętać, że wraz z nim padnie i ktoś drugi... A winowajca, nie godzien jednego nawet spojrzenia, zali nie padnie, jeśli mu doniosę, że

córka ginie z rozpaczy na grobie ofiary? Zaprawdę wieść ta przynajmniej mowę mu odbierze, jeśli nie zmiażdży jak gada!

I tej samej nocy jeszcze, wysłał gońca do Kafarnaum z dokłanym obrazem tego co tu zaszło...

Odtąd upłynęło dwa dni, a trzy od pogrzebu... Przez miasteczko przepływały tłumy pielgrzymów, z okazji bilzkiego święta Paschy, a wielu z nich znajomych, dowiedziawszy się o śmierci budowniczego, dom ten nawiedzali. Marta zmuszona podejmować gości, a zarazem zastąpić niedołężną siostrę pogrążoną w żalu, uspokoiła się znacznie, okazując dużo przytomności umysłu i zapobiegliwości...

Tegoż dnia nad wieczorem przybył goniec do lekarza z tajnem zawiadomieniem, że tetrarcha śmiertelnie rozgniewany, zdąża na miejsce wypadku, w towarzystwie nieodstępnego Aryusa, obok całej świty dworzan — i radził mu ucieczkę...

Atoli lekarz odrzucił tę radę, już nie przez wzgląd na rodzinę, ale przez zemstę...

Czuł on, że jeśli napiętnuje winowajcę, jeśli odsłoni cały szereg zbrodni, krzywd i nieszczęść co spadły na wielu, nie wyjąwszy nawet jedynej córki; wtedy w sercach ludu zawrze gniew straszny i spadnie na głowę tyrana! A spadnie niewątpliwie boć czara cierpliwości dawno się przelewa... Tak dumał lekarz po odejściu gońca, siedząc noc całą nad grobem obok swojej pani, a dumania te sprawiały mu jakąś rozpaczliwą rozkosz...

Tymczasem wschodnie krańce horyzontu poczęły różowieć, a chwilę później trysnął płomienisty snop promieni wstającego słońca. Poranek był pogodny, a nadewszystko ożywiony gromadami ludzi w różnobarwnych szatach migocących wśród zieleni i obfity w różnojęzyczne gwary. A zpośród tego tłumu wybiegł Baruch z rozpromienioną twarzą i zbliżywszy się do domu Łazarza wołał: Marto! Marto! Chrystus idzie! Dziwnie błogo rozbrzmiewał ten wykrzyknik, odbijał się stokrotnem echem i tonął kędyś w dali. W domu Łazarza powstał ruch; Marta wybiegła i wodząc w koło pięknemi oczyma, pytała:

— Kędy idzie Baruchu?

— Tam. Poza wzgórzem Elizeusza, jerychońską drogą — odparł i pociągnął ją za sobą we wskazanym kierunku. Przebiegając mimo grobu, oblanego złotym ponsem zorzy, krzyknął tuż nad uchem lekarza: — Chrystus idzie! Cudotwórca!

Słyszał już lekarz o Chrystusie, ale słyszał, że to szarlatan, burzyciel, nie rozumiał przeto radości Barucha. A jednak wyraz „cudotwórca" przyprawił go o drgnięcie i wzbudził w sercu coś jakby nadzieję, a z nią szereg wyobrażeń, które z przedziwną łatwością zacierały poprzednie rozpaczliwe myśli, a nawet chęć zemsty. Teraz wolałby widzieć cud nad Zarą uczyniony i nad nim samym, wolałby żeby Chrystus był istotnie panem życia i śmierci! Bo wtedy ileżby nieszczęść złagodził, ile łez osuszył w tej chwili cierpień i upokorzenia, a zaliż nie mógłby także uzdrowić tetrarchy? Lub jeśli nie to, czyliżby nie mógł jednym swym głosem zamienić szakala w owieczkę łagodną i wydrzeć mu szpony, któremi mordował? O tak mógłby — pomyślał w duchu — jeśli jest tym, którego przyjścia oczekiwał naród...

Na północnym szlaku drogi ukazał się szary tuman kurzu, dobywający się z pod stóp wielbłądzich. A wśród tej kurzawy, dostrzegło oko lekarza, tetrarchę siedzącego w lektyce, olbrzymią postać Aryusa i innych dworzan, którym przewodniczył ów goniec wysłany przed trzema dniami do Kafarnaum. Jednocześnie, z poza kępki kaktusów, otaczających Elizeuszowe wzgórze, wyszedł Chrystus. Marta opowiadała Mu coś ze łzami w oczach, On słuchał jej ze spuszczoną głową i załamanemi rękoma. Wiatr rozwiewał Jego bujne włosy, odsłaniając jasne rzymskie czoło, na którem teraz rysowała się zmarszczka żalu. Szedł zwolna, za Nim podążali uczniowie, Baruch i w niedalekiej odległości tłum, który schodząc z Getsemane, spotkał Go po drodze. Potem przystanęli; Marta pobiegła ku domowi, On zaś stał nieruchomy jak posąg, czasem wzdychał jak ten co w walce z ogromem nieszczęść uczuł wyczerpanie...

Lekarz przyglądał się bacznie.

Wprawdzie z tej przygnębionej postaci nie wywnioskował cudotwórcy, ale uczuł przychylność, która go wzruszała, uczuł czar bijący z tej postaci i dziwną błogość w duszy... Był zachwycony, oczarowany, jak Dawid podczas swych widzeń, wśród dźwięków arfy o zachodzie słońca — nie mogąc odeń oderwać swych oczu... Takieto wrażenie czynił Chrystus na każdym nieszczęśliwym, a jednocześnie w sercach rodziła się myśl: — Przecz cierpi ten sprawiedliwy, przecz Go prześladują?

Marta tymczasem sprowadziła Marję, która padła do stóp Chrystusa z jękiem boleści... On spojrzał na nią jak zawsze tkliwie, wysłuchał jej skargi, potem pytał o coś, a one wskazały Mu odległy o dwa staje kamienny grobowiec...

Ruszono w tę stronę. Z oczu Chrystusa padały na ziemię łzy duże jak perły, gdy patrzał na ten głaz, pod którym spoczął był przyjaciel, a ci co szli za Nim szeptali sobie:

— Oto jak go umiłował...

Drogę zastąpił Mu lekarz. Trzymał on na ręku Zarę, którą wstrząsały konwulsyjne drgawki; była zsiniała, zapieniona, oczy miała szeroko otwarte, ale zamglone gasnące...

— Panie, jeśliś jest cudotwórca, uczyń miłosierdzie — szepnął zdławionym głosem.

A zaliż wierzysz w moc Syna Człowieczego?

— Tak wierzę Panie, Ty możesz ją uzdrowić!

Luby wzrok Chrystusa spoczął na dogorywającej Zarze... słychać było jej chrapliwy oddech, potem zgrzyt zębów i szamotanie w ramionach lekarza...

Wszystko to trwało chwilęczkę, bo gdy dłoń Proroka dotknęła jej czoła, ustały konwulsje, znikły sine plamy, z pod powiek łagodne patrzały oczy, ale wyrazem bólu i cichej skargi zarazem...

Bóg-człowiek westchnął, patrząc na dziewicę co przeżyła najcięższe chwile swego życia i szepnął do niej — To wiara twoja cię uzdrawia, a Ojciec, który jest w niebiesiech, niechaj cię błogosławi... Oczy jej zwolna zachodziły łzami, a w końcu płynąć poczęły strumieniem. Upadła na twarz, okrywając święte nogi Zbawiciela pocałunkami, niemniej i lud zebrany był wzruszony i zdziwiony niezmiernie uczynionym cudem, krom Jego jednego, który smucił się smutkiem całego świata i lękał bez miary...

A Zara, powstrzymawszy łzy o tyle, że mogła przemówić, podniosła ku Niemu oczy i załamane ręce wsparła na Jego kolanach.

— Panie! — rzekła — Otoś mi wrócił życie, ale cóż mi po niem... Ty czytasz w duszy każdego człowieka... Ty wiesz, że zgasło na wieki światło mej nadziei, a uczyniło się ciemno i rozpacznie jak w mokrych podziemiach, gdzie żaden promyk niedochodzi i obcą jest radość... Ty jeden wiesz dlaczego... wiesz jaka opowieść kryje się w tym grobie, że to się stało przez miłość dla Ciebie... Umilkła gdyż łzy ściskały

jej gardło. Zmarszczka na czole Chrystusa pogłębiła się, a smutek jaki się odbił na Jego obliczu, wymownie świadczył, że rozumiał wszystko...

Podczas tego karawana tetrarchy, zbliżała się... Zdaleka można było widzieć zsiniałą twarz starca pełnego wściekłości i płowe zczerwienione oczy biegające z takim wyrazem, że aż krew krzepła w żyłach dworzan. Towarzyszący mu Aryus wiedział co miał uczynić: Miał zdławić na miejscu lekarza, porwać Zarę, a teraz znowu o czem świadczyło spojrzenie tetrarchy, miał zdławić Chrystusa. Jednakże moc jakaś przedziwna, poraz pierwszy przyjęła tego olbrzyma trwogą i odebrała mu wszelką ochotę do wykonania rozkazu. Napróżno rzucał się starzec, na próżno migał oczyma... chciał krzyczeć, ale nie mógł, uczuł się bezsilnym wobec tej potęgi co krążyła w obrębie grobowca... Chrystus podszedł ku skale, padł na kolana ze wzniesionymi ku górze oczyma. Cisza panowała święta, uroczysta, słychać było leciuchny podmuch wiatru, szept gorącej modlitwy, a potem głośne już słowa. — Dzięki Ci Ojcze iżeś mnie wysłuchał... Wreszcie powstał i rzekł do sług: — Odwalcie ten kamień!

A gdy temu stało się zadość, buchnął z czeluści grobowca zaduch trupi, pomieszany z wonią zwiędłych róż i zwietrzałego spikonardu. Prorok podszedł ku otworowi, stanął na środku z załamanymi rękoma i schyloną głową pełen głębokiego skupienia i zadumy... Poetm wzniósłszy dłonie do góry zawołał głosem wielkim:

— Łazarzu, wynijdź z grobu!!

Cierki przeszły po zgromadzonych, włosy jeżyły się im na głowach, zęby poczęły szczękać jakby się zbliżał koniec świata... Oczy wszystkich zwrócone były na otwór grobowy z ogromnem napięciem a usta, bezwiednie powtarzały „wynijdź z grobu!"

I stał się szelest w głębi, od którego bladły wszystkie twarze, drżały wszystkie ciała... słychać było darcie powijadeł, a po chwili na progu grobowca ukazał się blady, ale żywy Łazarz. Jednem spojrzeniem ogarnął wszystko i uczuł wdzięczność głęboką dla Tego co wskrzesił w nim życie i padł Mu do nóg, lecz nim zdołał wypowiedzieć kilka słów podzięki, już ściskały go drżące ramiona Zary wśród niewypowiedzianej radości i uniesienia. A Prorok? Niechcąc tamować wylewu uczucia usunął się z lekka na ubocze, kędy stała karawana z Kafarnaum. I stała się rzecz dziwna, tak dziwna jak sam fakt wskrzeszenia...

Powietrze przeszył, drżący, świszczący ale potężny głos tetrarchy: — Panie nie zbliżaj się! Nie jestem godzien abyś choć nogą dotknął ziemi na której ja stoję!

Lecz Chrystus podszedł ku niemu, albowiem dopełnić chciał obietnicy danej ongi przed rzymskim urzędem.

— Panie nie zbliżaj się! — wołał tetrarcha — Jam pognębił tysiące i tysiące krzywd ciąży na mych barkach, a w piersi dławi ogień przekleństwa i gniewu Jechowy! Jam zamordował niewinnie Szymona, zabrałem mienie, wtrąciłem jego rodzinę w rozpaczliwą nędzę... Nie dotykaj mnie!

Mimoto wsparł Chrystus dłoń swą na siwej głowie starca i rzekł: — Żałuj... Szymon ci przebacza, ale zgromadź rozproszoną rodzinę i wróć jej mienie, otocz opieką, bądź ojcem ludu.

— O Panie, zaliż to można?

— Można... — odparł Jezus — Za ciebie jednego oddam dziewięćdzięciu i dziewięciu sprawiedliwych. Pierwsze łzy opamiętania spłynęły po zmarszczonych policzkach tetrachy... Prosił obecnych o przebaczenie za krzywdy, całował Łazarza i córkę, poczem rzekł do Aryusa: — Nie będziesz więcej zabijał!

— Nie będę panie. —

— Biegnijcie po wszej Galilei, szukajcie rodziny Szymona, a wy ogłoście iżem z łaski Proroka wszedł w upamiętanie i jestem ojcem ludu... Chcę nagrodzić wszystkie krzywdy bym umarł spokojnie. Wy dzieci moje nie gardźcie mną...

Lube oczy Chrystusa spoczęły na nim z wyrazem bezbrzeżnej słodyczy, i czaru, a on szeptał wzruszony: Przebacz Jezusie. Zlituj się nademną.

Zwolna Prorok ruszył naprzód; a gdy oczy tetrarchy jeszcze go ścigały, gdy usta jeszcze błagały litości, wtedy odwrócił się... wzniósł dłoń swą wszechwładną ku górze, a wiatr co wiał od Getsemane, niósł z sobą miękkie i dźwięczne słowa Chrystusa:

— Tetrarcho galilejski chcę bądź uzdrowion!

KONIEC.



Poradnik gospodarczy.

Trudno podług miesiąca oznaczyć, które roboty należy wykonać, gdyż mimo, iż koniec marca, jeszcze miejscami śnieg leży, a zimno dochodzi do 8° R., ziemia jeszcze zmarznięta, więc robota w polu żadna.

Ale, gdy tylko nadejdą ciepłe dni, ziemia rozmarznie, nie można marudzić, ani ociągać się, gdyż czas prędko leci i każdego dnia szkoda, więc brać się żwawo do pracy, aby nagrodzić spóźnienie, które w tym roku nastąpiło.

Więc zacząć od robót poleconych na marzec, a wymienionych w jednym z poprzednich Nr. „Roli".

Bronować oziminy szczególnie pszenicę podsypać gdy słaba azotniakiem lub saletrą amonową. Pracę tę wykonać w dzień suchy i słoneczny.

Sadzić ziemniaki, siać buraki.

Jeżeli na roli pokazuje się ognisko niszczyć go. posypując w dzień mokry suchym kajnitem, lub niszczyć broną, wschodzące chwasty.

Jeżeli na polu tworzy się sucha skorupa, należy ją połamać broną lub ugnieść wałem.

Pozbierać starannie po polu głąbie stare kapuściane i ułożyć na kupy i spalić. Przed zimą w środku głąbi schroniły się całe masy przeróżnych szkodników, a gdy te zniszczymy z wiosną pozbędziemy się ich na dłuższy czas.

Słabe oziminy można podlewać gnojówką lub zasilać nawozami sztucznemi, zaś miejsca wymarzłe poorać i podsiać żytem jarem lub jęczmieniem.

Łąki bronować i podsiewać mieszanką odpowiednich traw.

Po nastaniu ciepła wypędzać bydło na paszę, ale nie zapominać o dokarmianiu w domu. Stajnie, obory, chlewy zdesynfekować i starannie pobielić wapnem. Wyrzucić przegniłą ziemię, zaś nawieść ziemi świeżej zwłaszcza pod ściany i kąty, ziemia ta ze stajni bardzo dobrze może być użyta do nawożenia i poprawy łąk i pastwisk.

W ten sposób wytępimy masy robactwa, które się z wiosną nie tak prędko rozmnoży.

Należy niszczyć wszelkie zarodnie much tej plagi w stajni i oborze. Niszczymy zaś przez gruntowną czystość jaka właśnie tu przez cały rok powinna panować.

Wiosenne roboty wymagają dobrego sprzężaju, dlatego należy konie robocze dobrze żywić, aby w pracy na roli nie ustały, ale nietylko dobrze żywić, ale i dobrze się z nimi obchodzić, gdyż każde zwierzę czuje wyrządzoną mu krzywdę, a nawet często chce się za nią pomścić. Nie pozwolić, aby zwierzę pracowało nad siły, gdyż w ten sposób szybko się zużywa i może nam go wtedy braknąć, kiedy go najbardziej potrzebujemy.

W ogrodach owocowych kończyć sadzenie i szczepienie drzewek owocowych. Pamiętać o drzewkach świeżo posadzonych i podlewać je rozcieńczoną gnojówką.

Mniej urodzajne drzewa przeszczepiać na doborowe odmiany, dają owoc większy i bardzo pokupny.

Niszczyć wszelkie owady szkodliwe w ogrodzie, gdyż wyniszczone nie prędko się rozmnożą.

W ogrodach warzywnych strzedz rozsadę od pchełek, a pojawiające się pchełki usilnie tępić.

Przygotowywać grządki pod kapustę obficie znawożone obornikiem i po nastaniu już dni ciepłych wsadzić wczesną rozsadę.

W pasiece przejrzeć pnie, czy mają zapasy, czy matki czerwią, słabe pnie i bezmatki łączyć razem.

Uważać, aby pszczoły nie napadały się nawzajem i nie rabowały pasieki. Trzymać pnie tylko silne z młodemi matkami. Podkarmiać na 6 tygodni przed pożytkiem na siłę.

Stawiać wodę w pasiece, aby pszczoły miały jej poddostatkiem i nie goniły po nią daleko.

Jan Matysik.

Poradnik lekarski.

Zakażenie ran i ukąszenia jadowite. Rany mogą być zatrute przez ukąszenie węża, wściekłego psa, przez broń zatrutą, gwoździe, noże, jadowite farby i t. p. Jeżeli z rany jad dostanie się do serca, wówczas zatruwa wszystką krew. Przedewszystkiem trzeba zraniony członek powyżej rany związać silnie sznurkiem, taśmą lub chustką. Następnie usunąć jad ustami o ile wargi nie są zranione lub wypompować go zapomocą bańki lub kieliszka, albo wypalić go rozpalonem żelazem, lub kwasami, n. p. karbolem, saletrą, lapisem, gdy je mamy pod ręką. Ranę otrzymaną przez ukąszenie węża, należy polać roczynem salmiaku (solan amonjakowy), a na wewnątrz niechaj używa dużo napoji spirytusowych, wódki, rumu, wina. Wezwać też trzeba zaraz lekarza.

Fistuła. Często zdarza się, że od czasu do czasu utworzy się na ciele jakiś wrzód. Z początku, jest to tylko mały punkcik, który się jednak zwolna zaognia, coraz bardziej rozszerza i nareszcie staje się wielkim wrzodem. Wrzody te, powstają nietylko na zewnętrznej skórze ciała, lecz także i na wewnątrz. Chorobliwe materje szukają sobie wyjścia; tworzą więc kanał, którym wypływają .Wewnętrzny wrzód z wyciekiem ropy na zewnątrz, nazywa się fistułą. Fistuła może niekiedy sprowadzić śmierć. Leczenie: zabiegi wodolecznicze oraz wstrzykiwania w kanał wycieku odwaru ze skrzypu, z kory dębowej i t. p. Również należy się starać o wzmocnienie organizmu, a wtedy łatwiej można chorobę usunąć.

(Dalszy ciąg w następnych numerach).

KRONIKA.

Od Administracji. Wszystkich kwartalnych Prenumeratorów prosimy o rychłe odnowienie prenumeraty celem uniknięcia przerwy w dalszej przesyłce „Roli“.

Pożary lasów. Z Poznania donoszą: We czwartek po południu wybuchł w lasach państwowych w nadleśnictwach Lipki, Wypalanki i Boruszyna olbrzymi pożar lasów. Pożar przybrał rozmiary zastraszające. Akcję ratunkową utrudniał silny wicher. Na razie nie zdołano ustalić przyczyny, ani rozmiarów szkód, spowodowanych pożarem. Równocześnie wybuchł pożar w lesie państwowym w Podalinie, pow. Chodzież. I tu nie zdołano stwierdzić przyczyny pożaru. Również wybuchł pożar lasów w Łomnicy, pow. Nowy Tomyśl, własności p. Szepkowej. Pożar objął przestrzeń przeszło 2.000 morgów. Szkody wynoszą kilkaset tysięcy złotych. Niedaleko od tego miejsca w nadleśnictwie Sieraków spaliło się 500 cetnarów drzewa przygotowanego na budowę.

Wielki pożar w Mogielnicy. W Mogielnicy, miasteczku położonem w pobliżu Grójca, wybuchł onegdaj około godziny 2 po południu groźny pożar, który szybko przybrał katastrofalne rozmiary. Ogień powstał z niewiadomej przyczyny w zabudowaniach gospodarza Jana Gładysza przy ul. Krakowskie przedmieście. Pożar, podsycany wiatrem, przeniósł się na dom mieszkalny Gładysza, a stamtąd na sąsiednią zagrodę. W mieście powstała panika, mieszkańcy całej ulicy zaczęli w popłochu wynosić ruchomości i wypędzać bydło na ulicę. Tymczasem pożar szalał z zastraszającą szybkością. Od płonących wiązek słomy z poszycia unoszonych przez wiatr, zapalił się cały szereg stodół, stojących po obu stronach kościoła i plebanji. Ogień objął też zabudowania gospodarcze księdza proboszcza Osińskiego i dwa inne domy mieszkalne. W ciągu godziny cała ulica po obu stronach stanęła w ogniu. Miejscowa straż ogniowa zaalarmowała sąsiednie straże. Tylko szybkiej akcji ratunkowej zawdzięczać należy, iż ogień nie strawił całego miasteczka, zabudowanego domami drewnianemi. Zaznaczyć należy, iż kościół murowany, kryty dachówką i plebanja, jakkolwiek znalazły się w centrum pożaru, nic od ognia nie ucierpiały. Straty narazie trudno obliczyć. W stodołach znajdowały się maszyny rolnicze i zboże do siewu. Zabudowania były ubezpieczone na nieznaczne kwoty.

Dramat w domu kasjera. Kasjer prywatnego towarzystwa handlowego w Salonkach w przeddzień rewizji kas, aby uzgodnić rachunki, zabrał jej zawartość do domu. Pieniądze te w sumie 3.000 zł. w drobnych banknotach poukładał na stole i zajął się sprawdzaniem rachunków. W trakcie tego trzyletnia córeczka kasjera, bawiąc się w pokoju, po cichutku zabierała pieniądze ze stołu i.. wrzucała je do pieca. W ten sposób spaliła około 2.000 złotych. Kiedy kasjer spostrzegł zabawę dziecka, uległ nagłemu atakowi obłędu i schwyciwszy dziewczynkę, włoczył ją główką do pieca, a sam złapawszy za brzytwę, z dzikim krzykiem wybiegł na ulicę. Żona kasjera wybiegła za szalejącym mężem, zapomniawszy o dziecku. Nieszczęśliwego schwytano po dłuższej pogoni i obezwładniono po zaciętej walce, podczas której kilka osób zostało poranionych brzytwą. Nieszczęśliwego furjata odwieziono w stanie beznadziejnym do szpitala, dziecko zaś wskutek odniesionych oparzeń zmarło w strasznych męczarniach.

Niesmaczny żart. Niemało kłopotu narobiła pani Kundlińskiej z Kamionnej w powiecie międzychodzkim

wiadomość, podana przez jeden z dzienników prowincjonalnych, a donosząca o zgłaszaniu się wszystkich członków rodziny Kundlińskich, zamieszkałych w Poznaniu i okolicy do 5 maja b. r. celem uregulowania spadku 10 miljonów złotych. Od tego czasu zjeżdżają do Kamionnej istotne pielgrzymki Kudlińskich, biedna zaś wdowa, Cecylja Kudlińska, nie wie, co z niemi począć, gdyż o żadnym spadku nie wie. Policja wszczęła energiczne poszukiwania za sprawcą niefortunnego dowcipu.

Zaręczyny z własną córką. Do jednego z rabinów warszawskich zgłosił się bogaty żyd, który niedawno temu przybył z Johannisburga w południowej Afryce i zamówił ślub na piątek o dwunastej w południe. Złożył tytułem zadatku na koszta ceremonji ślubnej 20 dolarów. Na pytanie rabina, skąd pochodzi, kim jest it.d. odpowiedział, że przyjdzie w piątek z narzeczoną i przyniesie z sobą dokumenty. Rabin kazał w dniu oznaczonym przygotować wszystko do ceremonji ślubnej, lecz zapowiedziana para narzeczonych nie zjawiła się. Pod wieczór, gdy już rabin zasiadł do wieczerzy wigilijno-sobotniej, nadszedł ów obywatel i opowiedział mu, co następuje: „Nazywam się Noachim Lewental. Studjowałem teologję w szkole rabinackiej w Warszawie. Jako biedny sierota, utrzymywałem się z zapomóg bogatych współwyznawców. Przyjętym zwyczajem przydzielono mi obiady dwa razy w tygodniu u bogatego handlarza drzewa, Mojżesza M. Był to człowiek bardzo pobożny i wielki znawca talmudu. Poznałem jego córkę i pokochałem ją. Panna była mi wzajemną i oświadczyła, że pragnie zostać moją żoną. Wyznaliśmy naszą miłość rodzicom, Nie chcieli o tem nic słyszeć. Uciekliśmy więc oboje do Niemiec i tam wziąłem z nią ślub rytualny. Lecz ojciec mojej żony nie dał za wygraną. Przy pomocy policji odszukał nas. Mnie aresztowano za porwanie małoletniej, a żona moja wróciła do rodziców. Teść chciał przeprowadzić rozwód lecz to mu się nie udało, gdyż żona moja była już w odmiennym stanie, a rytuał Mojżeszowy uważa to za główną przeszkodę w otrzymaniu rozwodu. Po kilku miesiącach żona moja, wydawszy na świat córeczkę, umarła. W międzyczasie udało mi się wydostać z więzienia. Udałem się do Transwalu. Posłużyło mi tam szczęście. Zostałem właścicielem fabryki kapeluszy, a potem wspólnikiem wielkiego przedsiębiorstwa szlifierni djamentów. Zrobiwszy majątek, postanowiłem odwiedzić moją ojczyznę. Pojechałem do Warszawy. Przybywszy na miejsce, zasięgnąłem przedewszystkiem wiadomości o teściach i żonie. Wiadomości te brzmiały bardzo smutno. Nikt nie wiedział, gdzie córka moja przebywa. Teściowie już nie żyli. Żona na cmentarzu w Warszawie pochowana. O córce tyle mi tylko powiedziano, że ją jakaś rodzina zaadoptowała, zabierając ją do siebie po śmierci jej dziadków, którzy zubożeli na wojnie i w nędzy umarli. Postanowiłem tedy, że ożenię się powtórnie. Powiedziałem swatom, by wyszukali dla mnie ubogą panienkę, starannie wychowaną i z dobrej rodziny. Poznałem taką i zaręczyłem się. Dziś miał się odbyć nasz ślub. Przed ślubem chciałem razem z narzeczoną odwiedzić grób pierwszej mojej żony. Poszliśmy na cmentarz. Na grobie żony ujrzałem świeżą wiązankę kwiatów. Jakież było moje zdziwienie, gdy w tejże chwili narzeczona moja objęła kamień nagrobku i z płaczem zawołała: „Mamo!“ Odnalazłem w narzeczonej tak gorąco poszukiwaną córkę i jestem szczęśliwy. Razem wrócimy do Afryki. Przepraszam was rabinie, że zabrałem wam tyle czasu. Składam jeszcze 20 dolarów na rzecz biednych współwyznawców w Warszawie“.

Niebezpieczna kuracja. W Szegedyi, na Węgrzech, zmarł w tych dniach Jan Kiss, bogaty przemysłowiec, skutkiem przeprowadzanej w ciągu dłuższego czasu kuracji djetycznej; chodziło mu o schudnięcie. Jan Kiss powiększa liczbę ofiar t. zw. „bitcherdyzmu“, głośnego w roku ubiegłym nowego systemu leczniczego. Nierozsądną tę teorję propagował Bitcherdy „cebulany profesor“, który zalecał odrodzenie upadłej ludzkości przy pomocy prostego a zarazem dziwacznego środka: ciągłego postu, przerywanego tylko od czasu do czasu spożyciem kilku cebul i wypiciem kilku szklanek świeżej wody. Jan Kiss, stosując praktycznie tę „zbawczą“ kurację, stracił połowę swej wagi, w następstwie czego zmarł.

Słoń skazany na śmierć. W bazylejskim ogrodzie zoologicznym zdarzył się w tych dniach tragiczny wypadek. Utrzymywany w tym ogrodzie wielki słoń Johnny porwał nagle trąbą jednego ze swych dozorców a podniósłszy go, uderzył nim kilkakrotnie o ziemię.



Siła uderzenia była tak wielka, że biedny dozorca zginął na miejscu. Nie była to pierwsza zbrodnia, którą popełnił Johnny; już bowiem w roku 1923 zabił prawie w ten sam sposób innego dozorcę. Wobec tego zarząd ogrodu postanowił zgładzić niebezpieczne zwierzę i poprosił znanego w Bazylei strzelca, aby podjął się tej egzekucji. Strzelec zgodził się na propozycję i jednym celnym strzałem z karabinu w łeb słonia, powalił go trupem. Johnny zatem przypłacił życiem swe zbrodnicze instynkty.

Miłosny napój. Policja wiedeńska wykryła niezwykły instytut, prowadzony przez 22-letnią piękną i młodą kobietę p. Kohle, rodem z Puszty węgierskiej. Czarnooka Węgierka sporządzała masowo napoje miłosne i sprzedawała je różnym kobietom, każąc sobie płacić za nie spore sumy, sięgające niejednokrotnie 3 tysięcy szylingów. Miłosne napoje sporządzały dwie stare wiedźmy cygańskie, które rzekomo odziedziczyły tajne recepty po swoich prababkach. Klientela pani Kohle składała się z kobiet różnego stanu i wieku. Szukały bowiem u niej pomocy zarówno biedne służące, jak i bogate utytułowane damy. I wszystkie kobiety twierdzą zgodnie, że leki były bardzo skuteczne, a mężczyźni nie mogli się oprzeć ich działaniu. — My to jednak między bajki włożymy.

Tajemniczy włamywacz. W tych dniach, jak donoszą pisma wiedeńskie, zamieszkały przy Erdbergstrasse 99 w Wiedniu inżynier Emil Krehan w chwili, gdy udawał się na spoczynek, zauważył pod drzwiami smugę światła w sąsiednim pokoju. Domyśliwszy się, że ma do czynienia ze złodziejem, p. Krehan chwycił stary swój bagnet i udał się do przedpokoju. W tejże chwili złoczyńca wpadł do klozetu i zatrzasnął za sobą drzwi. Gdy po krótkim czasie zawezwani na pomoc sąsiedzi otworzyli drzwi ubikacji, zauważyli, że jedyny ślad, jaki pozostał po złodzieju, to sznurowa drabinka, zwieszająca się na następny dach. Włamanie to ma związek

z całym szeregiem tego rodzaju czynów, dokonywanych niewątpliwie przez jedną i tę samą osobę. Niema nocy, by w tej dzielnicy, gdzie zamieszkuje inżynież Krehan, nie dokonano kradzieży. Złoczyńca dostaje się przez okno, przeskakuje z dachu na dach, po gzymsach i lada jakich nierównościach muru, spuszcza się na ziemię, słowem wykazuje niepospolite uzdolnienie akrobatyczne. Był on płoszony już kilkakrotnie, ale nikt nigdy nie widział jego twarzy. Jednej nocy wdarł się on również przez okno klozetowe do niejakiej pułkownikowej Müllerowej. Przeszedł przez pokój dziecinny, a następnie znalazł się w sypialni, gdzie w łóżku leżała owa pani Müllerowa. Na poły martwa ze strachu, zamknęła oczy i udawała, że śpi. Widmo, jak je nazywają Wiedeńczycy, zaświeciło jej w oczy latarką elektryczną i zabrawszy rozmaite niewiele warte rzeczy, zniknęło jak sen. W ciągu ostatnich 12 dni, tajemniczy ten złodziej dokonał do 40 włamań, nie przekraczając granic jednej dzielnicy. Wszystkie usiłowania policji: wzmożone patrole, specjalna obserwacja dachów i okien, jak dotychczas nie doprowadziły do żadnego rezltatu. Erdbergstrasse i przyległe do niej ulice czynią w nocy wrażenie oblężonej fortecy; po ulicach krążą w nocy gęste patrole, przeszukują wszystkie możliwe kąty, piwnice, strychy, zaś mieszkańcy domów czuwają całemi nocami na czele z ojcami rodzin uzbrojonymi w rewolwery. Niektórzy pozakładali druciane siatki na okna — słowem ów tajemniczy włamywacz jest ostatnią sensacją całego Wiednia.

Pod gruzami mostu. Niebywała burza rozpętała się onegdaj nad okolicą kopalń żelaza w Lauchhammer nad Czarną Elsterą w Niemczech i spowodowała straszną katastrofę, w której 11 ludzi utraciło życie. W miejscowości tej przy kopalni węgla i fabryce brykietów, znajduje się wielki most żelazny niewykończony jeszcze zupełnie, a mający w przyszłości służyć do przewozu produktów węglowych. Otóż most ten wskutek gwałtownego orkanu zawalił się i w gruzach swych pogrzebał 28 robotników, zatrudnionych właśnie przy jego montowaniu. Z pod zwalisk wydobyto 10 trupów. Jeden z ciężko ranionych, podczas transportowania go do szpitala, zmarł. Wszyscy inni są tak ciężko poranieni, że jest mała nadzieja utrzymania ich przy życiu. Jest to największa katastrofa, jaka w ostatnich 10 latach w tym okręgu się zdarzyła, nie biorąc już w rachubę szkody materjalnej, poniesionej przez zawalenie się mostu. O szczegółach strasznej katastrofy donoszą: Cały poprzedni dzień panowała gwałtowna burza, która z każdą chwilą wzmagała się tak dalece, że przeszkadzała robotnikom w pracy. Cała okolica jest piaszczysta, również i most zbudowany jest na piaszczystym gruncie, a wiatr niósł całe tumany kurzu na olbrzymią wysokość i kompletnie jakby chmurą zasłaniał cały most. Gdy wicher doszedł do takiej siły, że zaczął chwiać mostem, kierownik budowy rozkazał robotnikom zejść. Właśnie, gdy mieli wykonać rozkaz, wzmógł się jeszcze bardziej wiatr i wyrwał środek mostu, wskutek czego cała budowa zawaliła się. Wśród okropnego trzasku i huku padały olbrzymie części mostu w dół i grzebały stojących na rusztowaniu robotników. Wiadomość o strasznem nieszczęściu obiegła szybko całą okolicę. Żony i dzieci zasypanych robotników, mieszkające w pobliżu, przybyły w krótkim czasie. Rozgrywały się sceny prawdziwie rozdzierające serce.

Walka dziewczyny z bandytą. Życie nocne Paryża, rojącego się od międzynarodowych bandytów i włamywaczy, obfituje w krwawe napady, kończące się nieraz tragiczną śmiercią. W ostatnich dniach rozegrał się taki dramat na peryferjach miasta, w wielkiej, czteropiętrowej kamienicy przy ulicy Cartier Bresson. Właściciel tej kamienicy p. Ernest Cedelle usłyszał nagle w nocy hałas, dobywający się z piwnicy. Podejrzewając, że wkradli się złodzieje, ubrał się spiesznie i wyszedł z żoną i piętnastoletnią córką Magdaleną na kurytarz, prowadzący na schody. Brama była otwarta. Zbliżywszy się do drzwi, prowadzących do suteren, p. Cadelle poczuł, że za drzwiami ktoś się ukrywa. Kiedy pchnął drzwi, z mroku wyszli dwaj ludzie i odrazu rozpoczęli strzelać z rewolwerów. Jedna z kul trafiła w ramię panią Cedelle, która upadła na podłogę. Mąż rzucił się na ratunek żonie, a tymczasem bandyci puścili się ku bramie, chcąc uciec. Wtedy panna Cedelle, widząc ranną matkę, puściła się w pogoń za bandytami. Udało się jej dosięgnąć jednego z bandytów, którego chwyciła za ubranie i za włosy. Wśród zaciekłej walki bandyta zdołał wydrzeć się z rąk dziewczyny, a przyłożywszy jej rewolwer do piersi, oddał strzał. Trafiona śmiertelnie dziewczyna padła nieżywa na ziemię, a bandyta zdołał zbiec bez trudności.

Najniebezpieczniejszy człowiek. Na miano to zasłużył sobie we Francji senator, a w życiu prywatnem adwokat Cuttoli. Z jakiego powodu jednak mąż tak poważny ma być najniebezpieczniejszym człowiekiem we Francji? Oto... z powodu swej wymowy! Zajmując się przeważnie sprawami kryminalnemi, adwokat Cuttoli umie przemawiać tak wymownie i wzruszająco, że najczarniejszego zbrodniarza zrobi jak śnieg białym Powiadają o nim, że żadna jeszcze ława przysięgłych nie mogła się oprzeć jego wymowie, a w rodzinnej Konstantynie nazywają go powszechnie człowiekiem, który „nawet żandarmów potrafi zmusić do płaczu“, ponieważ zdarzyło się niejednokrotnie, że pod wpływem rozczulającej jego wymowy nietylko przysięgli, ale i pilnujący w sali sądowej zbrodniarza żandarmi, zalewali się łzami, jak bobry! Czy więc senator Cuttoli nie jest niebezpiecznym człowiekiem?

Pożar w pensjonacie dziecięcym. Groźny pożar wybuchł onegdaj około północy w pensjonacie, zamieszkałym przez same dzieci w Salfords w Anglji. Pastwą płomieni padł budynek, w którym spało 30 dzieci. Gdy tylko powstał alarm, nauczycielka z podziwu godnem bohaterstwem wbiegła szybko do jednego z przedpokojów, w którym spało ośmioro dzieci. —



Cały pokój był już pełen gryzącego dymu. Szukając po omacku wśród ciemności, nauczycielka porwała jednego omdlałego już dzieciaka, poczem uratowała drugiego. Nawpół uduszona dymem, padła jednak sama zemdlona. Z kolei inna znów nauczycielka z narażeniem własnego życia wtargnęła do płonącego pokoju, z którego zdołała uratować jeszcze trzecie dziecko. Pięcioro pozostałych znaleziono już w stanie zwęglonym po zlokalizowaniu pożaru. Resztę dzieci, śpiących w innych

pokojach zdołano uratować. Były to wszystkie dzieci oficerów armji angielskiej, służących obecnie za granicą.

Niezwykły ślub. W kościele parafjalnym w mieście Alliance w Stanach Zjednoczonych odbyło się w jednym dniu 5 ślubów, o których rozpisują się pisma amerykańskie. Sensacja polega na tem, że panami młodymi byli czterej bracia Silsey i ich 70 letni ojciec, a pannami młodemi cztery siostry Colerick i ich 60-letnia matka. Nie trzeba dodawać, że z matką Colerick ożenił się ojciec Silsey, gdyż jest to dla każdego zrozumiałe.

„Nie ścigajcie mnie, jadę do piekła“. Przed trzema tygodniami miasto Bernardsville w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. wstrząśnięte zostało strasznem morderstwem, popełnionem przez niewykrytego sprawcę, na pannie Margaret Brown. Jak dochodzenia ustaliły, zbrodniarz ogłuszył swą ofiarę uderzeniem kolbą rewolweru, a następnie przypuszczając, że nie żyje, oblał ją benzyną i podpalił, poczem uciekł w niewiadomym kierunku. Obecnie sprawa tajemniczego mordu została częściowo wyjaśniona. Miejscowy komornik sądowy otrzymał niepodpisany list z nowojorskim stemplem pocztowym, w którym nieznajomy, podając się za lekarza, przyznaje się do zamordowania panny Brown, ponieważ opierała się jego propozycjom miłosnym. List kończy się następującem zdaniem: „Nie ścigajcie mnie więcej, gdyż jadę do piekła“. Na podstawie stylu i charakteru pisma oraz miejsca wysłania listu władze policyjne przypuszczają, że morderca pochodzi z nowojorskich kół towarzyskich i spodziewają się, że o ile nie odebrał sobie życia, jak można przypuszczać z końcowego zdania listu, uda się go schwytać.

Początki skalpowania. Prezydent miasta Chicago przyjął niedawno delegację plemion indyjskich, która zgłosiła protest przeciwko tekstowi historycznych podręczników szkolnych, wpajającym w dzieci amerykańskie przekonanie, że skalpowanie wrogów (t. j. zdzieranie skóry) jest wojennym obyczajem czerwono-skórnych. W rzeczywistości zaś nie ulega już dzisiaj żadnej kwestji, że inicjatorami tych okrucieństw byli biali przybysze, którzy żądali od Indjan przynoszenia owych krwawych trofeów, jako dowodu, iż nieprzyjaciel został istotnie wytępiony. Jeszcze jedna plama na kartach dziejów pierwszej kolonizacji europejskiej!

RZECZY CIEKAWE.

Kobiety a mężczyźni.

Dawniej, gdy siła górowała nad rozumem, ulubieńcami kobiet byli mężczyźni wysokiego wzrostu, gdyż imponowała im możność walki człowieka z przyrodą, walka fizyczna, do której nie potrzeba było zbyt wielkiego rozumu. Oczywiście miały w tym wypadku rację, gdyż przeważnie ludzie, szczycący się wysokim wzrostem, nie mają przeważnie zbyt wybitnych zdolności. Natomiast podobno tak dawniej, jak i obecnie mężczyźni wysocy lubią małe, szczupłe kobiety z tej racji, że nie potrzebują dużo pożywienia i zostawiają go więcej dla męża. Jakimi byli, takimi pozostali, natomiast kobiety zmieniły swe upodobania. Rozsądna kobieta, kierując się rozumem, woli niższego mężczyznę, który zawsze przewyższa zdolnościami mężczyznę wysokiego. Psychologowie stawiają tu za przykład Napoleona i innych sławnych ludzi, wielkich rozumem, a małych stosunkowo wzrostem. Rzymianie przez długi czas byli tego przekonania, że siedliskiem rozumu bynajmniej nie jest mózg, lecz serce. Wysocy ludzie tracą więcej energji na cyrkulację krwi, niż ludzie mali, którzy zużywali ją na procesy umysłowe. Zwolenniczki niskich mężczyzn przytaczają nieco odmienne argumenty. Są one tego przekonania, że w kobiecie bywa zazwyczaj bardzo dużo instynktu macierzyńskiego, który zanika w dużej mierze wobec „wielkoludów“. Słowem, upodobania kobiet z każdym niemal dniem zmieniają się na niekorzyść mężczyzn wysokich.

Największa rodzina świata.

Tomasz Parker, farmer amerykański, wykazać się może oryginalnym rekordem. Liczy obecnie dziewięćdziesiąty pierwszy rok życia, co się ostatecznie zdarza, ale posiada on najbliższą rodzinę złożoną tylko z — 658 osób! A nie wchodzą w zakres tej „ściślejszej rodziny“ kuzyni, czy szwagrowie, ale jedynie tylko dzieci jego własnych dzieci, jakoteż małżonkowie i żony tych dzieci, a więc naprawdę sami najbliżsi...

Parker żonaty był 5 razy. Z pierwszą żoną miał 18 dzieci, z drugą 21, z trzecią 9, z czwartą 12 a z piątą 10. Miał więc razem 70 dzieci. Bardzo często miewał bliźnięta i trojaki. Z tych 70 dzieci zmarło 8, pozostało zatem 62 dzieci, w tem 32 chłopców i 30 dziewcząt.

Wszystkie dzieci są zamężne lub żonate i mają również bardzo liczne potomstwo. Ciekawym jest fakt, że najmłodszy potomek Parkera liczy dziś 16 lat, a więc urodził się szczęśliwemu ojcu w jego 75 roku życia! Natomiast jego najstarszy wnuk liczy 49 lat i ma już syna 27-letniego. A więc najstarszy prawnuk jest o 11 lat starszy od najmłodszego syna, bo najstarszy syn podążył w ślady swego ojca i ożenił się w 20 roku życia. Niema co mówić, ładna rodzina, której można pozazdrościć.

Nowożytna wieża Babel.

Amerykańskie miasto Detroit można zaiste nazwać nowożytną wieżą Babel, albowiem w mieście tem, które w ostatnich latach rozwinęło się poprostu bajecznie, znajdujemy najróżniejsze narodowości.

W tej centrali przemysłu automobilowego (w Detroit znajdują się bowiem fabryki Forda), samych **Polaków** jest — 200.000, Niemców — 130.000, Kanadyjczyków — 120.000, Włochów — 45.000, Węgrów — 35.000, Rumunów — 25.000, Szkotów — 25.000, Rosjan — 22.000, Jugosłowian — 21.000, Irlandczyków — 16.000, Czechów — 15.000. Cyfry poniżej 10 tys. reprezentują w Detroit: Belgowie, Litwini, Łotysze, Grecy, Armeńczycy, Syryjczycy, Francuzi, Szwedzi, Holendrzy, Bułgarzy, Duńczycy, Amerykanie, Norwegowie, Szwajcarzy, Walеńczycy, Hiszpanie, Turcy, Chińczycy, Albańczycy i Japończycy.

Szach i organy.

Kiedy szach perski w końcu ubiegłego stulecia zwiedzał w Paryżu katedrę Notre Dame zademonstrowano mu także organy. Gra organowa wywarła na szachu niezwykłe wrażenie, wyszedł więc na chór, aby przyjrzeć się zbliska „jak się to robi“. Zauważył tu organistę grającego na klawiaturze i kalikanta, który skacząc z jednej dźwigni na drugą poruszał miech dostarczający organom powietrza. Odchodząc wręczył szach drobny upominek organiście, a drogocenną pamiątkę kalikantowi.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Józef Krzyszkowski** w K.: „Sen o Gródku“ jest napisany z dużym rozmachem. Znać w nim talent niepośledni, ale jako fantazja nie byłby on zrozumiały dla wszystkich naszych Czytelników. Zresztą zbyt długi dla „Roli“. — **Stefan Sarlej** w W.: Nadesłane wierszyki przeczytaliśmy z wielkiem zajęciem. Jest w nich oryginalność i duży talent. Wiersze oczywiście dedykować można. Na pytanie, jakich prac najwięcej potrzebujemy, możemy odpowiedzieć jednem słowem: dobrych. „Rola“ wszystko pomieści, co jest dobre, a więc i artykuł naukowy, i powiastkę, i bajkę, i legendę i t. d. Artykuły naukowe mogą być z każdej dziedziny, byle były napisane zajmująco i zrozumiałe dla wszystkich. Najwięcej w tece posiadamy wierszyków, a tak mało im możemy poświęcić miejsca. Czekamy na dalsze prace. — **Wincenty Kuglin** w K.: „Myśli“ są zupełnie dobre. „Przedwiośnie“ nieco się spóźniło, boć już niniejszy numer wychodzi z datą kwietniową. — **Józef Serafin** w M.: Wiersz i artykuł nadeszły, gdyśmy mieli już numer cały złożony. Muszą więc zaczekać do przyszłego roku. — **Ferdynand Staszak** w J.: Jednym z bardzo ważnych warunków pisania do druku, to pisanie tylko po jednej stronie papieru. Dalej pomiędzy rządkami trzeba koniecznie zostawić więcej miejsca na możliwe poprawki. Inaczej utwór musielibyśmy przepisywać, a na to nie mamy czasu. „Powrót nieboszczyka“ dobry, ale właśnie dlatego, cośmy powyżej powiedzieli, trudno nam go drukować. — **Piotr Wenc** w S.:Otrzymaliśmy — dziękujemy. — **Stanisław Trybowski** w K.: Myśl ładna, ale forma zbyt słaba. — **Kazimierz Kiszka** w U.: Potrzebne przybory dostanie Pan w sklepie Halskiego, Kraków. Sukiennice. O książkę i wzory niech się Pan zwróci do księgarni Czerneckiego, Kraków, Rynek główny. — **Paweł Glett** w L.: Pod wskazanymi adresami numera z czekami wysłaliśmy. Dziękujemy i prosimy o dalsze poparcie. — **Franciszek Sznepka** w P.: Sprawa jest już załatwiona. Cześć! — **Florjan Ciebiera** w Rz.: List przyszedł oblepiony znaczkami karnymi. Widzieliśmy go z jednej i drugiej strony i nie zauważyliśmy napisu „Reklamacja“. Tak też na poczcie na liście nie zauważono takiego napisu i oblepiono znaczkami do podwójnej opłaty. Nr. 12 wysłaliśmy powtórnie. — **Szczepan Orzech** w K.: „Panu St. Unsingowi w odpowiedzi“ wydrukujemy, gdyż na ten temat polemika jest interesująca, a w rezultacie może przynieść korzyść Czytelnikom. — **Stali Czytelnicy w Białej:** Porady dla gospodyń będziemy wkrótce zamieszczali. — **Dawny „Zielony“** w K.: Reczb. dobrze napisana i na czasie — szkoda tylko, że po dwóch stronach papieru. Mimo to będziemy się starali dać w skróceniu. — **Franciszek Lewandowski** w U.: Wiersz otrzymaliśmy. **Ignacy Biegacz** w P.: Numer reklamowany przesłaliśmy. Wnieśliśmy znów skargę do Dyrekcji Poczt.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 23 marca b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Bubaje	od 1·25 do 1·81 zł.	Jałownik	od 1·18 do 1·75 zł.
Woły	od 1·40 do 1·85 zł.	Cielęta	od 1·16 do 1·93 zł.
Krowy	od 0·92 do 1·78 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·80 do 2·20 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·40 do 2·80

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.).

□ ☆ ☆ ■ Elegancja.
☆ □ ■ ☆ Metal.
☆ ■ □ ☆ Zwierzątko.
■ ☆ ☆ □ Wspak owoc połud. (V przyp.)
☆ ■ □ ☆ Zarys.
☆ □ ■ ☆ Dwie litery fonetycznie.
□ ☆ ☆ ■ Stowarzyszenie.
☆ □ ■ ☆ Gaz.
☆ ■ □ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ □ Murzyn.
☆ ■ □ ☆ Rodzaj teatru.
☆ □ ■ ☆ Jest w pokoju.
□ ☆ ☆ ■ Imię biblijne.
☆ □ ■ ☆ Wspak potrzebne krawcom.
☆ ■ □ ☆ Wspak mają żydzi.
■ ☆ ☆ □ Zdrob. imię żeń. (III. przyp.).

Litery wstawione w miejsce kwadracików białych i czarnych czytane z góry na dół dadzą imiona i nazwiska dwóch sławnych mężów w Polsce.

2. Szarady.

(Ułożył „Yoga“).

I.

Pierwsze trzecie bez końcówki
W domu na wsi bywa,
Czwarte, pierwsze, drugie, wróżki
Dzienne są to żniwa.
Rzeka w Niemczech drugie pierwsze,
Trzecie czwarte jakby wiersze.
Całość instrument muzyczny
Miły wszędzie i nie huczny.

II.

Pierwsze drugie w alfabecie
Fonetycznie napisane,
Czwarte zaimek dobrze wiecie,
Czwarte trzecie bez „n“ dane
Żydów księga święta,
Z której się modlą w bożnicy.
Całość więc pamiętaj —
Ostatni to zjazd w stolicy.

III.

Czwarte jest przyimkiem, zaimkiem trzecie,
Pierwsze pół drugiego, ptaszek w lesie;
Drugie pół trzeciego biją się o to w świecie,
Każdy człowiek sobie z plaży niesie
I jak czwarte pierwsze wygląda.
Całość to maszyna — wiecie,
Przestępców traci na świecie.

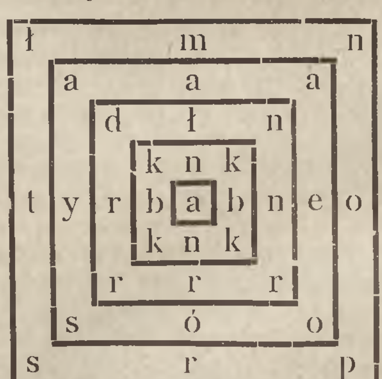
4. Tajemniczy adres.

Ks. Jan Skwapik
Hel p. loco.

Odgadnąć jakie funkcje spełnia dany ksiądz.

5. Przestawianka.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).



Litery w największym i najmniejszym kwadracie zostawić na miejscu, zaś w trzech środkowych kwadratach poprzestawiać tak, ażeby otrzymać ośm wyrazów czytanych po promieniach gwiazdy do środka.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 7 kwietnia br.

Znaczenie zagadek z Nru 12 „Roli“: 1. Zadanie konikowe: „Już płynie w suchem morzu koń mój i rozcina sypkie bałwany piersiami delfina“. 2. Przestawianki: I. Niedaleko pada jabłko od jabłoni“. II. „Niema reguły bez wyjątku“. III. „Kuj żelazo, póki czerwone“. 3. Zadanie konikowe: „Bywaj mi zdrowy, kraju kochany, już w mglistej nikniesz powłoce! Świsnęły wiatry, szumią bałwany i morskie ptactwo świegoce“. 4. Szarady: I. Arsenał. II. Rzeczy ciekawe. III. Abonament.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Gabrjel Wirstnik z Szcz., Henryk Biłka-Głębicki z S., Alfons Czader z S., Piotr Wenc z Ś., „Yoga“ z K., Wł. Marko z K.

Nagrody wylosowali pp.:

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Trudny wybór.

Obaj ci się oświadczyli i chcą się z tobą żenić.

— Tak, w jednym i tym samym dniu, tylko nie mogę się zdecydować, którego mam wybrać na pierwszego męża.



W restauracji.

Płatniczy: — Więc pan dobrodziej miał zupę kminkową, czy ryżową?

Gość: — Sam nie wiem, gdyż miałem w ustach smak mydła.

Płatniczy: — To była kminkowa, ponieważ ryżową dziś czuć naftą.



U sędziego.

— Żona chce się z panem pogodzić, czy pan na to się zgadza?

— Ha, trudno, na karę trzeba się zawsze zgodzić...

Szczery.

— Powiedz, łobuzie, z jakiej to racji widziałem ciebie wczoraj w moim ogrodzie?

— A, bo drzewo pod którem stałem, jest... za cieńkie.



Marność nad marnościami.

— Zdaje mi się, że pan uważa mnie za najdoskonalszego idjotę?

— Nie, proszę pana! Na tym świecie nic nie ma doskonałego...



Ostrożny mąż.

Wróżka do jegomościa, który właśnie do niej przybył:

— Ależ to pan jest moim sąsiadem z dołu? Czem mogę panu służyć?

— Tak, to ja. Będę pani bardzo wdzięczny, jeśli mi pani powie, czy moja żona nie czeka na mnie za drzwiami ze szczotką.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 20 marca b. r.

Pszenica .	56·00—57·00	Słoma długa	9·00—9 50
Żyto . .	00·00—00·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	41·00—42·00	Koniczyna nasienn. czer.	300·00—330·00
Jęczmień .	41·00—43·00		
Łubin żółty	30·50—32·50	Otręby żytnie	31·50—32·00
Fasola biała	58·00—59·00	Mąka żytnia	60·00—61·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	87·50—89·00
Siano słodk.	14·00—15·00	Otręby pszen.	32·00—33·00
Konicz pastew.	19·00—20·00	Mąka czerw.	35·00—36·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Życzenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku, gdyż tę część otrzymujemy.